

ŁOWIEC POLSKI



Polowanie na kaczki na Polesiu

Fot. W. Puchalski

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 17 (937)

CENA ZŁ. 1.-

1 WRZEŚNIA 1939 R.

STRZELAJ

PROCHEM



„SOKÓŁ”

PAŃSTWOWEJ WYTWÓRNI PROCHU - PIONKI



STRZELAJĄC DUBELTÓWKAMI FIRMY

PAUL SCHOLBERG, Liège

Na V ogólnopolskich zawodach P. W. P. Pionki, 1939 r. zdobyto I i III miejsce (p. J. Feill i p. R. Feill) w klasie Mistrz. Na XIV Narodowych Zawodach Strzelectwa Myśliwskiego 1939 r. zdobyto II, III, IV i V miejsce (pp. J. Kiszkurno, W. Ziegenhirte, J. Feill i S. Sztukowski)

Wyłączne przedstawicielstwo w firmie „ŁOWIEC”, Warszawa, Widok 22, tel. 504-93

NAJLEPSZE LIZAWKI.

Najlepszą, najbardziej ekonomiczną solą dla zwierzyny jest brykiet solny – lizawka z drobno mielonej, prasowanej soli kamiennej.

Brykiet solny jest odporny na działanie powietrza i wilgoci i nie rozpada się nawet po kilku tygodniach.

Brykiet solny jest łatwy do zakładania zwierzynie i chętnie przez zwierzęta lizany.

Brykiet solny waży 5 kg i może być z łatwością podzielony na dwie mniejsze cegiełki.

Brykiet solny ma kolor zielony lub czerwono brązowy.

Brykiet solny kupić można w Hurtowni Soli. Do kupna brykietów solnych nie jest wymagane zaświadczenie.

Brykiet solny może być kupowany w całości (5 kg) lub na wagę. Detalicznie (do 50 kg) i hurtowo (od 50 kg.)

Brykiet solny nadaje się zarówno dla gospodarstw małych, jak i dla wielkich hodowli.

Brykiet solny kosztuje: 1 kg brykietu gr 8, 1 brykiet wagi 5 kg gr 40, 10 brykietów po 5 kg (50 kg) zł 3 gr 44

OZNAKI

„STRAŻNIK ŁOWIECKI”

z opaskami w cenie zł. 6.00 za sztukę

poleca:

Administracja „Łowca Polskiego”, Warszawa, N.-Świat 35

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY

TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39 36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.



W ostępach Dawidgródziny

Fot. W. Puchalski

W SPRAWIE WYDAWNICTW ŁOWIECKICH

Dobrze się stało, że poruszono na łamach „Łowca Polskiego” sprawę wydawnictw łowieckich. Pisze o nich prof. J. Domaniewski w nr. 12/39 r. „Łowca Polskiego” p. t. „W sprawie dobrej literatury łowieckiej”, żądając zajęcia się nimi przez Polski Związek Łowiecki. Artykuł ten budzi zastrzeżenia i trzeba nań odpowiedzieć. Także Redakcja „Łowca Polskiego” nie godzi się ze wszystkimi poglądami autora i zastrzegła sobie zajęcie stanowiska.

Czego żąda autor? Wskazuje przedewszystkiem na konieczność stworzenia podstawowej literatury łowieckiej i żąda ogłoszenia w dwunastu tomach prac na temat: ornitologia łowiecka, ssaki łowne, podręcznik łowectwa, historia łowectwa w Polsce i innych krajach, broń myśliwska dzisiejsza i dawna, pies myśliwski, jego pochodzenie i rasy, układanie psów myśliwskich, choroby zwierzyny i psów myśliwskich, myślistwo z sokoły, ustawodawstwo łowieckie w Polsce i innych krajach, słownik łowiecki, geografia łowiecka.

Napisanie tych prac radzi powierzyć poważnym uczonym; proponuje znaczną objętość poszczególnych prac, na ornitologję np. przeznaczą 800 stron druku; radzi wykluczyć grafomanów. Oto mniej więcej postulat autora.

Sprawy wydawnictw łowieckich interesują mnie oddawna. Mam ponadto, dzięki wydaniu własnym nakładem pracy p. t. „Polski język łowiecki”, pewne doświadczenie wydawnicze.

Sprawy te są istotnie bardzo ważne. To też były one tematem rozważań w łonie Polskiego Związku Łowieckiego i ostatnio zostały przychylnie zdecydowane. Środki zostały uchwalone i wkrótce zostanie niewątpliwie powołana komisja wydawnicza. Dzięki temu będzie miał Polski Związek Łowiecki kontrolę nad wydawnictwami, a autorzy, nierozporządzający naogół środkami, możność wydania swoich prac.

Gdzie szukać autorów tych prac? Prof. Domaniewski radzi powierzyć ich napisanie poważnym uczonym. Pomysł uważam za niefortunny. Jak wiadomo, ogło-

siła dotąd drobna tylko część naszych naukowców większe prace z dziedziny swoich specjalności, a studenci nasi na S. G. G. W., medycynie i weterynarji np. używają przeważnie skryptów i obcojęzycznych wydawnictw, gdyż oryginalnych polskich podręczników niema. Nie lepiej jest podobno na innych wydziałach. Wobec tej niechęci naszych naukowców do stworzenia własnych wydawnictw, nie widzę wśród nich kandydatów na autorów. Do prac łowieckich trzeba przytem znajomości spraw łowieckich; rozporządzają nimi naukowcy wyjątkowo. Jedynie wśród ornitologów widzę poważnych kandydatów na autorów. Przypuśćmy nawet, że znajdą się naukowcy do tych prac, to — z braku kompetencji łowieckich — napiszą w najlepszym razie dzieła fachowe zoologiczne, językowe, weterynaryjne lub broniowe, a nie łowieckie, jakich nam potrzeba. Niema więc chyba wątpliwości, że autorami prac łowieckich będą głównie myśliwi, którzy muszą oczywiście doskonale znać obok specjalności łowieckiej, o której będą pisać, także ściśle naukową stronę zagadnienia. Grafomanom oczywiście nie można powierzać tych prac. Taksamo jednakże wykluczyć trzeba kompilatorów, których mamy pod dostatkiem wśród myśliwych i naukowców, skrzętnie zbierających owoce cudzej pracy, poczem je ogłaszają zrzęcznie jako własne...



Michałko z nad Szczary.

Fot. M. Bosiacka

Wobec wielkich braków w naszej literaturze łowieckiej, trzeba przedewszystkiem ogłosić prace zasadnicze, napisane jednakże zwięźle, popularnie i atrakcyjnie. Innych prac i to szczególnie jednostronnie naukowych: zoologicznych, weterynaryjnych, językowych i t. d. myśliwi nasi czytać nie będą. Ornitologja napisana na 800 stronach, jak tego pragnie prof. Domaniewski, byłaby chybioną, gdyż zawierałaby za wiele spraw zbędnych i gubiłaby się w szczegółach, nieważnych dla myśliwych. Niema dla mnie żadnej wątpliwości, że ornitologja łowiecka, wyczerpująca zagadnienie ptaków łownych, zmieści się wygodnie na 200—300 stronach i starannie wydana, na dobrym papierze, z ilustracjami, nie powinna przekroczyć ceny zł. 2.— do 3.—. Jeżeli natomiast myśliwy będzie chciał wniknąć głębiej w sprawy ornitologiczne, to ma do dyspo-

zycji prace ściśle ornitologiczne np. Taczanowskiego, Sokołowskiego i t. d. Wiemy wszakże dobrze, że myśliwy nasz chętnie wypuka na polowaniu 100 nabożów, które kosztują zł. 25.—; drugie tyle wyda na przejazd i t. p., a trzecie tyle przegra w bridge'a. Książki jednakże łowieckiej za zł. 5.— nie kupi, bo jest oszczędny... A ornitologja ośmiusetstronicowa kosztowałaby napewno zł. 12.— lub więcej.

Prof. Domaniewski odnosi się do ogłoszonych dotąd monografij o poszczególnych zwierzętach łownych, napisanych przez myśliwych, dość bezceremonjalnie. Przyczyna tego leży chyba w nieporozumieniu. Zażnaczę muszę i jestem pewny poparcia wielu bardzo poważnych myśliwych, znających dobrze zagadnienie, że prace te, jak np. monografie o wilku i głuszczu ś. p. Bol. Świętorzeckiego, Dylewskiego o lisie i inne, są dobrze napisane i spełniają w zupełności swoje zadanie. Są to oczywiście prace łowieckie, a nie zoologiczne.

Trzeba się także przeciwstawić skłonności prof. Domaniewskiego do teoretycznego i abstrakcyjnego planowania zagadnienia. Zamiast ustalania idealnych planów, które z braku autorów w wielu dziedzinach łowieckich pozostaną na papierze, zastanówmy się raczej nad tem, jakie prace obecnie można ogłosić i jakich mamy autorów, dających nam gwarancję napisania istotnie dobrych prac. O psie i jego sprawach winien napisać pracę (o co usilnie zabiegam) P. Redaktor W. Garczyński, doskonale te sprawy znający i mający swoje oryginalne do sprawy nastawienie, oparte na wieloletnim doświadczeniu. Doskonałego broniarza, piszącego przytem bardzo dobrze, mamy w osobie kpt. J. Podoskiego. O łosiach winien napisać ks. Karol Radziwiłł, który ma wielkie zasługi na tem polu i zna temat nawskroś. Gotowa prawie jest praca inż. T. Słowińskiego o jeleniach. Będzie to praca wyczerpująca, stojąca na wysokim poziomie. Ponadto winno się ogłosić pracę Wacława Podhorskiego p. t. „Organizacja łowiectwa na kresach”, którą mam u siebie. Byłby to zespół pierwszorzędných prac, które będą skutecznie rywalizować z podobnymi pracami zagranicznymi. Prace te nie będą przekraczały 150 — 200 stron druku i wydane starannie nie przekroczą ceny zł. 2.— do 3.— za egz. Jedynie dobrze mi znana praca inż. T. Słowińskiego będzie obszerniejsza. Niema wątpliwości, że w razie powstania zapotrzebowania, znajdą się autorzy i prace.

Część programu została już zresztą wykonana, gdyż o sokolnictwie ogłosił ostatnio dobrą pracę dr. August Dehnel p. t. „O sztuce układania ptaków do łowów”. O języku łowieckim napisałem sam. Prace te doznały krytyki przychylniej i zadanie swoje spełnią.

Ogłoszenie tych zasadniczych prac łowieckich nie wyczerpie jednakże zadań komisji wydawniczej. Winna się ona także zająć innymi pracami łowieckimi, ważnymi i potrzebnymi, z wykluczeniem oczywiście beletrystyki. Nasuwa się tu konieczność ogłoszenia monografij poszczególnych zwierząt łownych. Dobrym przykładem dla takich prac będzie wyczerpująca rzecz inż. T. Słowińskiego o jeleniach. Ważne byłoby także ogłoszenie pracy o gospodarce łowieckiej w łowisku. Jest to zagadnienie wielce aktualne i bardzo ważne, bowiem większość naszych myśliwych nie orientuje się jeszcze dostatecznie w tych ważnych zagadnieniach.

Ponadto winna także komisja przygotować wydawnictwa „Słownika języka łowieckiego”, „Encyklopedji łowieckiej” i „Historji polskiego łowiectwa”, czego niepodobna wykonać w krótkim terminie. „Słownik języka łowieckiego” będzie oczywiście wydawnictwem ściśle naukowym. Trzeba pozyskać do tej pracy polonistów, a redakcję powierzyć prof. dr. W. Ziembickiemu; nie widzę wśród myśliwych więcej kompetentnej w tych sprawach osobistości. „Encyklopedia łowiectwa” będzie także dziełem zbiorowym i prace nad nią trzeba zapoczątkować możliwie prędko. Trzeba także zacząć gromadzić materiały do „Historji polskiego łowiectwa” i poszukać autora.

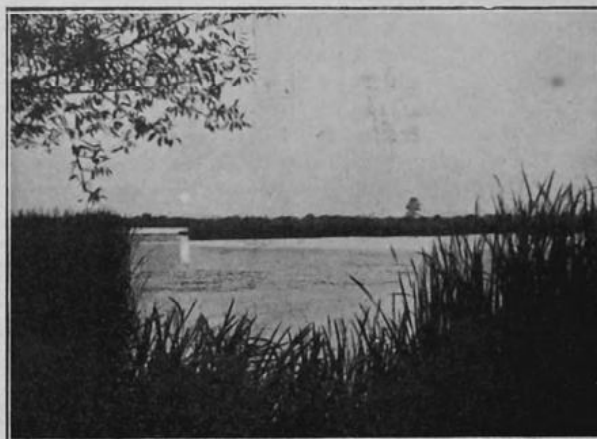
Najważniejszym i najpilniejszym niewątpliwie zagadnieniem jest ogłoszenie „Podręcznika łowiectwa”, któryby zawierał zasadnicze wiadomości z wszystkich dziedzin łowiectwa dla początkujących myśliwych. Zadanie tej pracy nie będzie oczywiście polegało na wyczerpującym omówieniu poszczególnych działów łowiectwa, a raczej na podaniu zasadniczych i niezbędnych wiadomości z poszczególnych jego dziedzin. W dziedzinie psa np. winna jedynie podać rasy psów z ilustracjami, omówić zadanie psa w łowiectwie, przydatność poszczególnych ras dla celów łowieckich i zastosowanie psa. Wszystkie inne sprawy psie np. wychów i tresurę, zaprawę i t. d. należy omówić tylko ogólnikowo. Myśliwy, pragnący wniknąć we wszystkie te kwestje, winien przestudjować specjalną pracę o psie, którą, jak się rzekło, winien napisać Red. W. Garczyński.

Pozostaje jeszcze jedno bardzo ważne zagadnienie. Czy prace te będą miały powodzenie i będą czytane przez naszych myśliwych. Mamy około 45.000 myśliwych, wykupujących karty łowieckie. Z nich należy przeszło 12.000 do Związku Łowieckiego. Czytelnictwo łowieckie wśród naszych myśliwych jest rozwinięte bardzo słabo i nakłady naszych czasopism łowieckich są bardzo małe. Jakże jest inaczej w Niemczech, gdzie taka „Deutsche Jagd” ma ponad 110.000, a „Wild und Hund”, o którym się tam mówi, że ma małe powodzenie, ponad 69.000 abonentów.

Nie odnoszę wrażenia, by z poważnej u nas rzeszy myśliwych czytało i interesowało się literaturą łowiecką więcej, jak 4 — 5000 myśliwych. Zdawałoby się więc, że sytuacja jest niepomysłna. Niebawem skok liczby członków po ogłoszeniu nowego statutu Polskiego Związku Łowieckiego z około 4000 na ponad 12.000 w przeciągu półtora roku, wskazuje jednakże na wielkie zainteresowanie myśliwych sprawami organizacyjnymi naszego łowiectwa. Myśliwi nasi łakną w istocie literatury łowieckiej, łatwo rozbudzić czytelnictwo łowieckie wśród nich i chętnie będą kupowali książki łowieckie, jeżeli będą interesujące, starannie wydane i dobrze reklamowane, a przede wszystkim tanie. Dowodem tego jest niewiarogodne wprost w naszych warunkach powodzenie pracy mojej „Polski język łowiecki”. Temat językowy nie jest napewno zbyt atrakcyjny, należało mu więc nadać formę taką, by się gładko czytało, a ponadto zainteresował myśliwych treścią łowiecką. Powodzenie tej pracy potwierdziło w całości moje przewidywania. Cały prawie nakład, wynoszący prawie 4000 egzemplarzy, został rozsprzedany i pozostało mi wszystkiego około 250 egzemplarzy! Prawda, że fakt ten wielce zdziwił wielu czołowych myśliwych naszych, nie wierzących w poczytność wydawnictw łowieckich! Wy-

dawnictwo natomiast ściśle naukowe o języku łowieckim, napisane przez polonistę, czego pragnie prof. Domaniewski, nie miałyby napewno tego powodzenia i nie spełniłoby swojego zadania — propagowania języka łowieckiego wśród myśliwych.

Mamy więc niewątpliwie możność lokowania wydawnictw łowieckich o nakładzie 2—3—5.000 egzemplarzy, zależnie od popularności tematu i autora (pracy o jeleniach nie można oczywiście wydać w nakładzie tak dużym, boć interesujących się tym tematem myśliwych jest mniej). Podkreślić trzeba szczególnie konieczność dobrej i solidnej reklamy, która musi dotrzeć indywidualnie do możliwie wielkiej liczby myśliwych, a conajmniej do wszystkich członków Polskiego Związku Łowieckiego.



Cudne okolice Buska

Fot. inż. R. Troszok

Jeżeli komisja wydawnicza spełni należycie te warunki, to powodzenie jej wydawnictw będzie zapewnione.

Skończyć trzeba z obecną nieznośną sytuacją, że myśliwy polski z braku literatury łowieckiej nie ma istotnie możliwości rozszerzenia swoich wiadomości łowieckich.

STANISŁAW HOPPE

*

I tutaj, jak przy artykule prof. Domaniewskiego, Redakcja musi zaznaczyć, że nie wszystkie poglądy Sz. Autora podziela, co zresztą jest zupełnie naturalne, ze względu na różnorodność związanych z poruszonym tematem kwestyj. Nie uważa też Redakcja artykułu tego za wyczerpujący zagadnienie, do czego zresztą sam Sz. Autor niewątpliwie nie rości pretensji. Sprawę tę, jak już podnosiliśmy, Redakcja poruszy w osobnym artykule, narazie zaś wyraża podziękowanie Sz. Autorowi za jego cenny przyczynek i oświadcza, że chętnie widziałaby na łamach „Łowca Pol.” dalsze głosy w tej sprawie, oczywiście przemyślane i rzucające na zagadnienie z tej czy innej strony nowe światło. (Przyp. Red.).

W SPRAWIE POLITYKI W DZIALE EKSPORTU ZAGRANICĘ ZWIERZINY ŻYWEJ

W panujących obecnie stosunkach polityczno-gospodarczych nie jest bynajmniej obojętnym, do jakiego kraju kierujemy nasze produkty wywozowe i jak w łączności z tem układa się nasz ogólny bilans handlowy. Zwłaszcza gdy chodzi o produkty takie, które nie są objęte żadnymi kontyngentami w stosunkach wymiennych z zagranicą, ani też nie związane umowami między państwami.

Do takich właśnie produktów wywozowych z Polski zaliczamy od szeregu lat naszą zwierzynę żywą — przeważnie zające, kuropatwy i bażanty — a należy pokreślić, że dzięki dobrej jakości tej zwierzyny, jej zdrowotności i zaletom indywidualnym, mającym wpływ na dalszą jej hodowlę w krajach odbiorczych, eksport naszej drobnej zwierzyny żywej wzrasta stale, z roku na rok i że zapotrzebowanie zagraniczne przewyższa naszą dotychczasową gotowość eksportową.



Opuszczone gniazdo

Fot. J. Hołyński

Dzieje się tak narazie zarówno ze względu na ciągle jeszcze lekceważenie tej dziedziny eksportu przez nasze władze, co utrudnia pracę naszych eksporterów, jak i wskutek nieświadomości lub opieszałości naszych rolników, naturalnych hodowców zwierzyny, rozporządzających łowiskami przedstawiającymi ze wszech miar dogodne warunki, aby się stać ośrodkami hodowlanymi na większą skalę.

Z tem wszystkim jednak, niezależnie od tego, czy zdołamy eksportować zwierzynę żywą za 1 czy za 10 milionów złotych, w obecnych warunkach powinno i musi nam zależeć na kierowaniu tego eksportu do tych wyłączone krajów, które, nie posiadając ograniczeń walutowo-wywozowych, płacą za naszą zwierzynę żywą gotówkę w swojej pełnowartościowej walucie, natomiast bezwarunkowo unikać eksportu do krajów, pozostających z nami w stosunkach rozrachunków t. zw. claring'owych, płacących nam za wszystko towarami, nieraz tylko z konieczności tych rozrachunków przez nas importowanymi — bez przymusu

i wyraźnej potrzeby, a co za tem idzie bez żadnych korzyści (często otrzymując produkty nadto drogie, albo znów tandetne i zle).

Stąd wynika, że powinniśmy zabiegać o rozszerzenie eksportu zwierzyny żywej do Anglii, Belgii, Francji, Holandji, i t. d., zaś unikać eksportu np. do Niemiec, gdzie nie inaczej zostanie nasz towar zapłacony, jak przez osławiony dziś claring, a więc rozrachunek nie gotówkowy lecz towarowy.

Taką winna być nasza polityka eksportowa na każdym polu, zwłaszcza odkąd gromadzenie w naszym skarbie obcych walut stało się jednym z najoczywistszych i najbardziej pilnych problemów naszej aktualnej polityki finansowej, ściśle związanej z ogólną sytuacją polityczną i gospodarczą świata.

W oświetleniu tego problemu niezwykle jaskrawo przedstawiają się z błyskawiczną niemal szybkością toczące się wypadki ostatnich miesięcy stawiające Trzecią Rzeszę w coraz bardziej ciężkiej i trudnej sytuacji gospodarczej, dzięki przetapianiu i przekuwaniu od szeregu lat wszelkich wartości na zbrojenia wojenne, stanowiące tam dziś jedyne źródło wiary w powodzenie idei zapanowania nad Europą.

To też oddany tej idei bez reszty, dzisiejszy rząd Trzeciej Rzeszy zwrócone ma oczy na wszystkie najdrobniejsze nawet źródła materialne, mogące dopomóc realizacji jego olbrzymich politycznych zamierzeń. Znajdując się w położeniu finansowo coraz cięższym, łaknąc wielu surowców i wielu towarów o charakterze półfabrykatów, Niemcy zabiegają wszędzie, gdzie mogą i gdzie tylko widzą najmniejszą choćby szansę powodzenia — nie przebierając w środkach — o obce waluty, mające, obok ofiar wymuszanych na narodzie własnym, jaknajdłużej utrzymać tempo pracy zbrojeniowej, ostatniej ucieczki przed idącym coraz szybszym krokiem przymusem kapitulacji z szalonych planów i ekscentrycznych urojeń wrodzonej im zaborczości.

Wśród różnorodnych dziedzin, budzących żywe zainteresowanie w Niemczech, jako źródła zdobywania potrzebnych ciągle obcych pełnowartościowych walut, dawno już zwrócono oczy na łowiectwo pod postacią hodowli i eksportu zwierzyny. Obecnie, pragnąc rozszerzyć ten dział, niemieccy eksporterzy zwierzyny żywej, inspirowani przez swój rząd, pragną stać się za wszelką cenę masowymi importerami zwierzyny polskiej, lecz nie w innym celu, tylko aby powiększyć swą możność eksportową w tym dziale do państw zachodnich, a co za tem idzie, aby nie do nas, lecz do nich płynęły z tego źródła obce waluty.

W tem zamierzeniu sprzyjającą dla nich okolicznością, na którą liczą, jest wykorzystanie naszych łowisk hodowlanych w zachodnich województwach, korzystnie położonych frachtowo, a w stosunku do reszty kraju najwięcej mających towaru eksportowego.

Pozatem, jak się dowiadujemy z zupełnie kompetentnych i wiarogodnych źródeł, rząd Rzeszy zawarł z niemieckimi importerami z Polski (a eksporterami do krajów zachodnich) zwierzyny żywej umowę, mo-

cą której czyni im szereg ułatwień transportowych i ulg, aż do wypłacania przy reeksportcie wysokich premii w ekwiwalencie markowym.

Tym dążeniom i tym metodom podejścia musimy się koniecznie zbiorowo przeciwstawić. Musimy przede wszystkim żądać od naszych hodowców zwierzyny drobnej pełnego uświadomienia co do tego zagadnienia i niedania się otumanić agentom quasi importerów niemieckich. Następnie powinniśmy poczynić jaknajdalej idące ułatwienia naszym eksporterom zwierzyny zarówno pod względem transportu kolejowego, jak i co do szybkiego otrzymywania zapłaty za wywiezioną zwierzynę, po uskutecznieniu przez zagranicznych importerów rozrachunku gotówkowego za pośrednictwem naszych banków dewizowych, a wreszcie przez udzielanie naszym eksporterom potrzebnych kredytów na zakup zwierzyny od producentów, którym płacić wypada natychmiast po jej odbiorze — a więc kredytów zależnych terminem od chwili pokrycia danego rachunku przez zagranicę.

Wzamiem za to powinniśmy zobowiązać wszystkich naszych eksporterów zwierzyny do niesprzedawania jej importerom niemieckim pod utratą przyznanych urzędowo ułatwień i ewentualnych ulg, a nawet pod



Odebrany ze szponów klusownika

Fot. Wł. Gryniewicz



Wyżeł „Echo”, doskonały aporter postrzałków zwierzyny użytecznej i drapieżników; specjalista w pracy po farbie — zakupiony do Spały z hodowli państwowego leśniczego T. Hajdy

groźbą odebrania prawa skupu (a więc łowienia w sieci u hodowców).

Francuscy importerzy zwierzyny polskiej delegowali niedawno do Polski swego przedstawiciela, który szczegółowo poinformował naszych eksporterów o rozszerzonych zakusach niemieckich importerów na zwierzynę polską, przeznaczaną obecnie wyłącznie do reeksportu. Jednocześnie wysłannik ten nie ukrywał przewidywania, że, w razie nieprzeciwstawienia się przez nas tej planowej akcji, również zapłacą poważną wyżkę cen francuscy i inni importerzy zwierzyny polskiej via Niemcy. Zrozumiałem jest zatem i z tej strony, że sprawie tej poświęcają we Francji wiele zainteresowania.

Od nas obecnie zależy — od stanowiska czynników rządowych, od solidności naszych eksporterów i od patriotyzmu naszych hodowców — ażeby łowiectwo polskie nie dopomogło ani na źdźbło do „przetopienia” polskiej zwierzyny na niemieckie armaty, zwrócone przeciwko Polsce.

W łączności z tem mamy wrażenie, że wskazana jest ścisła kontrola przy udzielaniu przez władze państwowe pozwoleń wywozowych na złapaną w celach hodowlanych zwierzynę, i to zarówno odnośnie naszych eksporterów, jak i hodowców, zawierających te transakcje samoistne, bezpośrednio z odbiorcami.

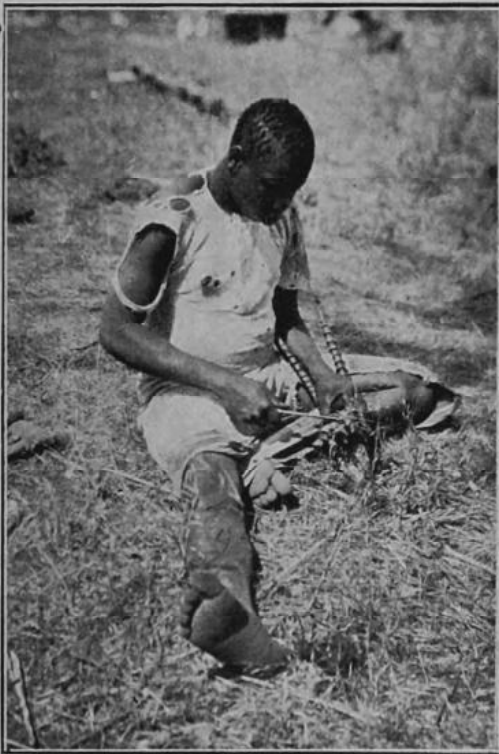
WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

Pp. Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego proszeni są o komunikowanie Łowczemu Powiatowemu o każdej zmianie swego adresu.

AFRYKA

(Ciąg dalszy).

Zachodziło słońce, kiedy wchodziliśmy do obozu. W poziomych, gasnących już promieniach, jak w blasku pożaru, obóz, namioty i step dokoła zalane były, jak sięgnąć okiem, gorącym, czerwonym jak płomień światłem; jak roztopiony, płynny brąz, mieniły się ciała murzynów. A kiedy zagaśło słońce, mrok zapadł tak szybko, że zanim zdążyłem zmienić odzienie i umyć się w namiocie, noc już była i na ziemi ciemno zupełnie. W oddali tylko, na horyzoncie, w ostatnich promieniach błędzących w przestrzeni, jak pochodnia, palił się jeszcze przez chwilę szczyt Longonotu.



Oczyszczanie czaszki trofeum

Namioty zastaliśmy rozbite już, zastawiony stół do obiadu i Jussufa, kucharza, przy robocie. Obóz, prawdziwy „campi porini”*) założony był dziś w szczerym stepie, daleko od zarośli wszelkich i wody. Prócz rzadkich, nikłych haszczy stepowych i trawy, nie rosło dokoła nic. Zwykłych ognisk więc nie rozniecano, a ponieważ księżyc wschodził późno, nad ranem, jedyne światło dawała wielka naftowa latarnia obozowa, wisząca wysoko na wozie. Przez ostrożność nie popędzono wołów na paszę i zatrzymano je na noc w obozie, gdzie stać miały do świtu.

Od wyschniętego, piaszczystego strumienia, przez który przechodziliśmy zwieczora, miejscowość nazywała się „Sand-River”. Takie „rzeki piasku” zjawiskiem są w suchej porze roku codziennem i, jak długa Afryka i szeroka, nazwę „Sand-River” spotyka się na każdym kroku.

*) Campi (z ang.) obóz; pori — puszca, step. (Przyp. aut.).

Tysiące i tysiące gwiazd, jasnych, srebrzystych gwiazd afrykańskich błyszczały już na firmamencie, kiedy zasiadaliśmy do — wigilji. A osobliwa była ta nasza wigilja i niepodobna zgoda do uczyty, zastawianej w dniu tym na pokrytych śniegiem polskich ziemiach, kiedy zaświeci na grudniowym niebie pierwsza gwiazda.

Od ziemi biło gorąco, w powietrzu niosło pożarem, podawał do stołu czarny, pół-nagi „boy” z głową kędzierzawą, jak karakuł. Od ognisk, przy których piekli mięso i warzyli wieczorną swą strawę nasi ludzie, dolatywał nas obcy, niezrozumiały pogwar ich rozmowy; u wozu przywiązane, parskały jedząc rozkulbaczone muły. Na stole nie było ani ryby, ani grzybów, ani maku. Ledwie że znalazł się opłatek, o którym, wyprawiając nas w podróż, nie zapomnieli życzliwi nam w Warszawie. Co oni robią, czy wspominać nas będą dzisiaj, czy odgadują, że myśłą jesteśmy z nimi w tej chwili?! Ale tam godzina wcześniejsza, do stołu nie siedli jeszcze.

W obozie, dzięki zebrze i obfitości mięsa, nastrój panował doskonały; przy ogniskach swych nawet śpiewali potrochu trażarze.

Czarny, pierwotny syn przyrody, umysł ma dziecka, jak ono żyje wrażeniem i w jednej chwili przechodzi z ostateczności w ostateczność.

Ileż to razy podczas „safari” widziałem trażarzy upadających w pochodzie ze znużenia, jęczących i ledwie wlokących nogi, jak w godzinę potem, za ledwie przybywszy na postój, śpiewali i tańczyli przy bębenku.

Zabawa ciągnęłaby się zapewne długo w noc, gdyby nie rygor obozowy i nie surowość maniapary, który nakazał iść spać. Na „safari” żartów niema. „Kelele!” Cicho! — Jak nożem uciął. rozmowy milkną i jeden za drugim ludzie kryją się w swych namiotach. Opuszczone ogniska gasną, nastaje cisza i obóz powoli tonąc zaczyna w mroku.

Dochodziła dziewiąta, czas był i na nas, bo wyruszyć mieliśmy przed świtem.

Jeszcze jeden dzień pochodu, a wieczorem, jeżeli nic nie zajdzie, staniemy pod Longonot, gdzie obozować chcemy przez kilka dni i gdzie polować już będziemy prawdziwie. Obiecuja, że w lasach u podnóża gór spotkać się możemy z bawołami, których istnieją tam jakoby dwa duże stada. A nuż tajemniczy *Hylochaerus*, olbrzymi dzik Wschodniej Afryki! Wszak w tych właśnie mieszka okolicach! Ale nie, nie trzeba łudzić się i wymagać od losu zbyt wiele. Niechby tylko lew albo bawół na początek!

— „No więc dobranoc, do jutra”. — „Dobranoc”. — Rozchodziliśmy się w usposobieniach różowych, pełni najlepszych nadziei, zadowoleni jak dzieci. Choć bez śniegu i bez kolendy, udaną mieliśmy wigilję.

Kiedy w namiocie zostałem sam i zgasilem świecę, w podnieconej wyobraźni, wyczarowane ciemnością, budzić się zaczęły wspomnienia, zamierzchłe dawno, wigilji minionych, pod innym przeżytych niebem. Święta Narodzenia i wakacje zimowe z czasów, kiedy gnębiono nas jeszcze w szkołach, domowe polo-

wania „dla tradycji” i pierwszy rogowiec zabity „na gwiazdkę”, rodzinne uczyty za stołem na sianie i, drogie niedewszystko, dawniejsze jeszcze wspomnienia dziecinne: choinka strojona tajemniczo przez matkę, żywy kucyk przywiązany do klamki w pokoju, wreszcie epoka w życiu: pierwsza „prawdziwa strzelba” i — wszystko, co już nie powróci nigdy.

W śpiącym obozie, w ciszy, słychać było tylko brzęk łańcucha, kiedy targnęły nim woły, muły kończące wieczorny obrok i odgłos kroków strażującego askarisa. Od stepu, jak z pod ziemi, to głośne, to przytłumione, dolatywały jęki i charkotania hjen, zadowolonych przy trupie zebry; w przestrzemi, wysoko, rozlegały się nieznanne głosy ptaków nocnych, ciągnących powietrzem.

„CHŁOP STRZELA...”

Obóz zwinięto śpieszniej jeszcze niż pierwszego ranka i byliśmy już daleko w stepie, kiedy nad Kijabe wschodziło słońce. Po dniu, przy świetle, widocznym było, że Longonot i otaczające go wzgórza leżą dalej, niż wydawało się wczoraj wieczorem w mroku. Na zachód, na lewo i przed nami, w kierunku jak ciągnęła karawana, płaszczyna leżała równa i gładka, jak stół; na prawo, już o trzy czy cztery wiorsty może, piętrzyły się urwiste wyniosłości i kopce wulkaniczne, pasmem schodzące w stepy od głównego łańcucha gór.

Wypadło mi iść tą drogą, więc muła nie zabierałem i ruszyłem samotrzeć tylko z Mabrukim i z czarnym, który ponieść miał kobiałkę z jedzeniem i zapas wody. Sais z mułami, reszta służby, która nie niosła bagażu i shikari Diuma towarzyszyć mieli L., który pójść miał drogą łatwiejszą, przez stepy.

Z wyglądu okolica nie różni się prawie od miejscowości, przez które przechodziliśmy wczoraj. Wciąż ten sam kraj równy, porośnięty tu i owdzie haszczami, wciąż te same akacje sterczące pojedynczo, te same kopce wulkaniczne, brunatne skały spalone słońcem i te same głębokie jary pełne głązów, żwiru i suchego, żółtego piasku na dnie. Wodv ani śladu. Reszta roślinności żyje tylko w głębokich wąwozach, gdzie nie cały dzień pali słońce. Rosną tam potężne, masywne ostromlecze, nieznanne mi, zwarte, świeże zupełnie i zielone, gęste, niskie krzewy, przypominające naszą tarninę i kępy wysokiej, do trzciny podobnej trawy. Strone zbocza jarów zarośnięte są tak gęsto, że przechodzić przez nie można tylko ścieżkami, wydeptanymi przez zwierzynę.

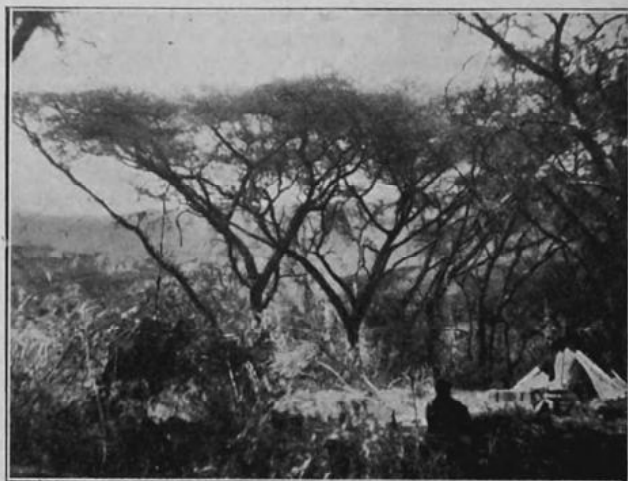
Czy sprawa to bliskość gór i zarośnięte gęsto wąwozy — ptactwa przeróżnego spotykamy tu nierównie więcej niż wczoraj. Prócz żerujących po ziemi strusi, dropi i pławiących się w błękitie sępów i jastrzębi, uwija się w powietrzu i przelatuje z drzewa na drzewo różnobarwny drobiazg skrzydlaty, nieznan mi przeważnie z głosu i postaci. Z pod nóg, furkocąc głośno, jak nasze kuropatwy, rwą się szare frankoliny. Zwierza wciąż dużo, snującego się po równinie stadami i pojedynczo. Zebr tylko mniej niż dotąd. Nie dogadza im może podgórski, skalisty teren okolicy, przez który prowadzi droga. Zastępują je coraz liczniejsze „kongoni” — hartebeesty, antylopy-krowy, stadami żerujące na stepie.

Kiedy nadchodzimy, sztuka stojąca na straży wskakuje na termitierę, albo na złom skały i przebiegł, chrapliwym świnięciem ostrzega towarzy-

szy. Co dalsze stada przestają żerować i, zwrócone w naszą stronę, czekają aż je minimy; bliższe uciekają jak wicher. Ostrożność zresztą zbyteczna, bo niepokoić zwierząt nie mam tymczasem zamiaru.

Naszej „safari” już nie widać; ludzi z sobą nie mam, mięsa więc, lub choćby tylko rogów i łba ponieść niema komu. Zabijać zaś jedynie dla strzału, nie postawiło mi w głowie.

Nie oparłbym się może pokusie wobec zwierzyny prawdziwie rzadkiej i cennej, jak bawoły albo nosorożec; dla takiej zdobyczy warto byłoby zatrzymać się i bodaj zawrócić karawanę, ale „kongoni”!... Tych mieć mogłem zawsze ile zapragnie dusza i obejmie licencja.



Fragment obozowiska

Ostatecznie, przez czas pobytu, na dwadzieścia „kongoni”, do zabicia których upoważnia prawo, wpisałem na listę połowę tylko. Innego mięsa ludzie mieli wciąż pod dostatkiem, rogi, jako trofeum, wartość przedstawiają średnią, a polowanie samo, jako sport, żadne. Z dalekonośnego sztucera i przez lunetę, na nieprawdopodobne odległości, myśliwy strzela do stojącego zwierza, jak do tarczy. Było ich zresztą wciąż tak dużo!

Porzucone wśród haszczy, spotykaliśmy często białe, objedzone już przez mrówki kości zebra i antylopa, rozdartych przez lwy, a na piasku, który zaścielał dno jarów, shikari coraz pokazywał mi ślady najgrubszego zwierza zamieszkującego te strony: „simba” i „kifaru”; lew i nosorożec. Szliśmy jednak nie zatrzymując się, bo śpieszno mi było znaleźć się pod Longonot i poznać za dnia okolicę, w której polować mieliśmy nazajutrz. Tymczasem kraj, zwierz i tropy obiecywały dużo i czułem jak coraz silniej ogarniała mnie febra myśliwska.

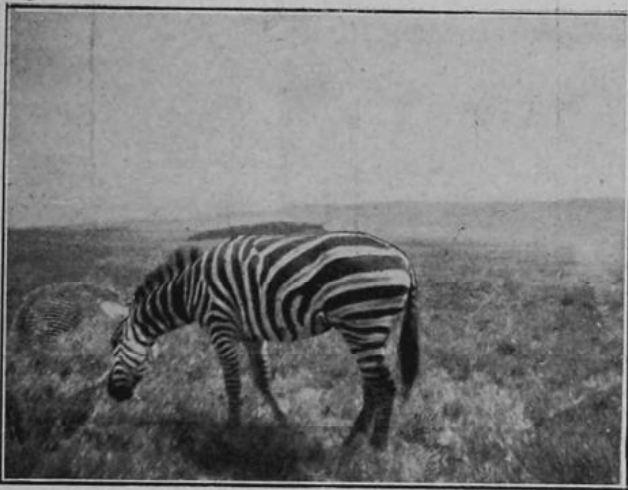
Przed samym południem jakoś, kiedy żar był największy i upatrywaliśmy właśnie, gdzieby zatrzymać się można i wypocząć w cieniu, spotkaliśmy gromadkę kobiet z plemienia Wakikuju, dźwigających wielkie, wypchane sakwy skórzane i pęki chróstu.

Złamane brzemieniem, pokryte grubo czerwonym pyłem, brzęcząc drutem i świecidłami, nieszczęśli-

we istoty, oplątane sznurami, wlokły się, jak przedładowane wielbłądy, dla których nie miał litości przewodnik. Dwie z nich, prócz ciężarów, niosły w skórzanych workach dzieci, zawieszane na plecach między sakwami.

W morderczym skwarze „białych godzin”, złamane, pochylone, ciągnęły szeregiem mozolnie, wolno, jak dźwigające łup mrówki w podróży. I raz jeszcze, w obrazie tym zalanym słońcem, w gorących barwach miejscowych, rzucał się w oczy cały odwieczny tragizm losów, cały ogrom niedoli matki rodu ludzkiego — kobiety. Upośledzona przez przyrodę, skrzywdzona, kobieta zawsze i wszędzie ciernisty na naszej planecie wiedzie żywot: pod szarem niebem północy, w miastach gdzie dymią czarne kominy, na roli i tu, na spalonej ziemi Czarnego Łądu.

Dzwoniąc żelazem bransolet, jak kajdanami, ukazały się na stepie, posłuszne swej doli powlokły się w nieznaną dal i zniknęły w haszczach.



Zebra

Tego samego dnia, przed wieczorem, natrafiliśmy na starą pieszą drogę, którą ciągnęły dawniej karawany na wybrzeże. Prosty jak strzelił, ledwie szerszy niż nasza polna drożynka, szlak ten, wydeptany przez ludzi, prowadzi nad Wielkie Jeziora, do Ugandy i dalej, gdzieś do mrocznych, mało znanych jeszcze krajów Środkowej Afryki.

Dziś nie używana prawie „bara-bara” zarasta powoli trawą i zanika. Doniedawna jeszcze, kiedy nie było kolei, a w Mombasie kwitł handel kością słoniową i „żywym hebanem”, szlakiem tym tysiącami, zakuci w żelazne obroże i spięci łańcuchem, ciągnęli na wybrzeże czarni nędzarze, niosąc cenne kły do portów, gdzie handlarz żywym towarem, Arab-Semita, sprzedawać zwykły korzystnie swój biały i czarny towar. Dzięki Protektoratowi i twardej lecz sprawiedliwej opiece Anglii, czasy „romantycznych” takich podróży minęły i nie powrócą nigdy. Dziś na starej karawanowej drodze, porastającej haszczami, pojawiają się tylko, ciągnące sznurami, stada zebra, wędrujący z osady do osady krajowcy miejscowi i niekiedy polująca w tych stronach „safari” myśliwska, jak nasza.

*

W miarę jak osuwam się z otoczeniem, uderzają mnie szczegóły coraz to nowe, nieznanne, zadziwiają-

co ciekawe. Już pod Kijabe, pierwszego dnia pochodu, zastanawiały mnie rozlegające się w szarym stepie dziwne odgłosy, podobne do tonów, jakie wydaje flet: raz śpiewne i melodyjne, to znów ostre i przenikliwe, jak świstawka. Tędy te słyszałem często, nie tłumacząc sobie ich pochodzenia. Po pewnym czasie dopiero zauważyłem, że osobliwa ta muzyka, przypominająca jęki drutów telegraficznych, albo wycie wichru w kominie, odzywa się najgłośniej w pobliżu drzew akacjowych, grupami i pojedynczo rosnących na stepie, i wówczas tylko, kiedy dmie silny wiatr.

Złudzenie, czy zwykłe czary Sfinksa? Drzewa śpiewają! Na drzewach tych właśnie, najeżonych parzystymi, jak rogi na głowie, dużymi cierniami, czernią się przylepione u nasady kolców i widoczne na nagich gałęziach już zdaleka małe, do dzikich jabłek podobne, kuliste gałki. Narośnięte te, powstałe w miejscu nakłucia przez owad, składający tam jajka, puste są kiedy wyjdzie gąsienica i służą za mieszkanie gromadom drobnych, drzewnych mrówek. Łupiny te, kiedy wiatr powieje silniej i powietrze wpa- da do środka, poczynają grać, tony zależnie od swej wielkości i od średnicy otworu wydając rozmaite. Jeżeli więc drzew takich, zwanych w botanice „*Acacia fistula*”, rośnie w pobliżu dużo, step jęczy dokoła, gwizdże i śpiewa, jak gdyby ciągnęła powietrzem niewidzialna, zaczarowana kapela cała. Osobliwe te odgłosy mają coś dziwnie tajemniczego, obcego, równie swoistego dalekim stepem Wschodniej Afryki, jak płynący monotonnie srebrzysty szmer cykad, lub balsamiczny śwąd pożaru.

W pomysłach swych niedościgniona przyroda Czarnego Łądu mnoży w nieskończoność objawy życia, postać im niekiedy nadając zdumiewającą. Owad pewien, kiedy przemieniać się ma w poczwarkę, nie przedzie kokonu, jak nasza gąsienica, a ścina ciernie, zlepia je w tulejkę, podobną z wyglądu do paczki wykałaczek, i wewnątrz bezpieczny od wrogów, od których bronią go ostre kolce otaczające otwór, wykluwa się ostatecznie.

Żywiolowa siła i wytrzymałość stworzeń, zamieszkujących gorącą ziemię Afryki, rzuca się w oczy codziennie. Trafiona śmiertelnie antylopa, za którą wloką się wnętrzności, uchodzić jest w stanie kilometry całe: wąż, któremu ludzie nasi obcięli głowę wieczorem, ruszał się jeszcze nazajutrz o świcie.

Podobną, niespotykaną w naszym klimacie odporność widzimy tam w świecie roślin na każdym kroku. Niema bodaj na Czarnym Łądzie rośliny, które raby nie cięła, nie drapała, nie kłuła, lub nie parzyła, jak nasza pokrzywa. Trudno wyobrazić sobie różnorodność kolców, haczyków, ostrzy i szpilek, jakie czyhają na nagie ciało przechodnia w haszczach Afryki. Nikłe, napozór słabe, wyschłe źdźbło trawy, które łamie się u nas za łada podmuchem wiatru, odporne tam bywa jak drut i przecina skórę, jeżeli poprobować je zerwać. Tak potężnie wyraża się tam w każdym swym stworze siła i samoobrona życia.

Wygasły od lat tysięcy wulkan przedhistoryczny, Longonot podobny jest z odległości do wysokiego, szerokiego u podstawy, jednolitego kopca ze ściętym wierzchołkiem. Widziane zbliska jednak, jest to piętrzące się wysoko, ogromne zbiorowisko odrębnych wzgórz, skał, hal górskich, rozległych dolin i wąwo-

zów, rozsypanych pierścieniem na dziesiątkach kilometrów. Rumowiska i strome, skaliste zbocza leżą nagię i świecą w słońcu zdaleka. Jary zaś, hale i doliny zarośnięte są ciemnymi haszczami i lasem. Głębiej w wąwozach zieleni się tu i owdzie płatami niewypalona jeszcze przez upał trawa. Gdzie przeważają skały i urwiska, tam otwiera się przed nami kraj coraz dzikszy, pierwotny zupełnie. Z jarów zielone sterczą wieloramienne kandelabry ostromleczy; w dolinach, w słońcu, grzeją się karłowate, rozłożyste palmy.

Niby alpejskie krajobrazy, ale obce czegoś, do naszych niepodobne — brak świerków i wody w potokach; roślinność nieznaną, nad głowami inne niebo, światło jaskrawsze i goręcej pali słońce.

Tuż za mną, stąpając elastycznie, dźwiga przybory nasze czarny trażarz.

Pomimo, że już od rana pniemy się wciąż pod górę, do szczytów wzgórzy jeszcze daleko. Dziś nie dojdziemy tam zresztą, bo obozować będziemy poniżej, na stokach.

Okolice tymczasem zmienia charakter coraz wyraźniej i dawno już przestała być stepową. Idziemy teraz przez kraj górski, mocno falujący, poszarpany głębokimi, urwistymi jarami, zawałony potężnymi złomami skał i pełen przepaści. Spuszczając się po zboczach wąwozów, przez które prowadzi nas droga, coraz przedzieramy się przez niedostępne, zwarte gąszczce, splecione ljanami.

Równiny, na których staliśmy obozem przez noc ostatnią, pozostały teraz niżej, za nami. Kąpiąc się w przestrzeni rudych, spalonych stepów, niehamowany niczem wzrok leci aż po widnokrąg, na którym, jak niebieskawe zwiewne chmurki, ledwie uchwytnie dla oka, mającą jeszcze lesiste góry Kijabe.

W prostopadłem, oslepiającem świetle ziemia leży bez ruchu, jak śpiąca. Niekiedy tylko w oddali, na płaszczyźnie u naszych stóp, wstają tumany szarego pyłu, toczą się skłębione, jak fale mgły, aż znikną rozwiane przez wicher, który dmie nieustannie. Kraj dokoła pusty, dziewiczy, oszałamiająco przestronny, pełen powietrza i błękitów. Nad nami, wysoko na niebie, jak maleńkie, czarne plamki na lazurze, krążą, w przestworzach dwa sępy. Jak sięgnąć okiem, człowieka ani śladu. Człowiek i szare ludzkie, codzienne troski zostały za morzem, daleko gdzieś, za siódmą rzeką.

Na duszy dziwnie lekko, łatwo pracuje serce, bez wysiłku niosą nas nogi przez wertepy. Myśl tylko, odurzona nadmiarem światła i przestrzeni, pracuje leniwie i niechętnie; odruchowo działają zmysły.

Zwierzera teraz wyraźnie mniej, pojedynczo tylko spotykamy gazelle i antylopy; zebry zniknęły zupełnie. Droga zresztą nie przestaje być zajmującą i co krok widzę coś nowego i nieznanego.

Wyrzawszy z wąwozu, rozszerzającego się właśnie w podłużną dolinę, Mabruki, który jak zwykle szedł pierwszy, zatrzymał się i pokazał mi o kilkaset metrów, na przeciwległym skraju doliny, niewielkie, szare zwierzę, stojące tuż u stóp wzgórza.

Co u licha? Czary, czy zwodzi tak światło? Zwierzera w oczach rośnie i zmniejsza się na przemiany. Raz widzę go zupełnie małym, nie większym niż nasz zając, a po chwili wydaje mi się trzy, cztery razy

większym, okrągłym jak kula. Biorę lornetkę — to samo; jeszcze raz — to samo. Przecieram szkła — to samo! Nie wierzę oczom. — Mabruki? Bąknął coś niezrozumiałe po suahili czy po angielsku, poczem tyle wiedziałem, co i poprzednio. — Osobliwe! — Jeszcze raz nastawiam lornetkę i, wpatrując się uważnie, widzę, że dziwne zwierzę nie tylko rośnie i kurczy się na przemiany, lecz i barwę zmienia w jednej chwili. — Jasne, szarawe, rosnąc ciemnieje i staje się prawie czarnem, jak oświetlony słońcem przedmiot, kiedy upadnie nań cień.



Fragment obozowiska

I profani, obojętni na rozkosz dreszczów myśliwskich, rozumieją, że zapragnąłem zapoznać się z nieznanym stworzeniem bliżej. Pomijając żyłkę łowiecką, która we mnie zagrała, ciekawy byłem niezmiernie na czem polega i co oznaczać może niezrozumiałe zachowanie się zwierza, zmieniającego na zawołanie wielkość swą i barwę. Zjawiska podobnego, jako żywo, nie spodziewałem się nawet w Afryce!

Dostać zwierza! Ale jak?...

O skradaniu się i podchodzeniu z ukrycia nie było mowy. Dolina cała gładka była, jak stół, bez porostu, otoczona stromemi, niedostępnymi skałami, ciągnącymi się zwartą ścianą, a słońce świeciło prostopadle i nie dawało śladu cienia, w którym zataićby się można i przejść pod krawędziami wąwozu.

„Kupić nie kupić” — poprobować mogłem nie tracąc czasu, bo droga nasza prowadziła wprost przez dolinę. Chcąc w części choćby odwrócić uwagę tajemniczej istoty i zmylić jej czujność, Mabruki i trażarz, nie ukrywając się zbyt, poszli wzdłuż przeciwległego skraju, a ja, nastawiwszy repeteter na 150 metrów, ruszyłem prosto, tuląc się do ściany skał po stronie, po której stał zwierz. Nie spuszczając go z oka, posuwałem się wolno, ostrożnie, korzystając z każdego załamania, jaki spotkałem. Nie lędziłem się zresztą zbyt co do wyniku i nadziei wielkich nie miałem, bo w ostrem świetle widać nas było zdaleka, jak na dłoni. Podejść zaś należało w ten sposób trzysta, dwieście metrów conajmniej, jeżeli strzał miał być możliwym. Przeczucie moje sprawdziło się, bo nie uszedłem stu metrów, kiedy zwierz zdradzać począł oznaki niepokoju. Zauważył

to widocznie i Mabruki, bo iść zaczął wolniej i zatrzymywał się często.

Czuje stworzenie jednak, widocznie świadome grożącego mu niebezpieczeństwa, oszukać się nie pozwalało i powoli, nie uciekając niby, pomykało ku skalistym zrębom, za którymi drwić mogło spokojnie z mych kul. Posunąłem się wprawdzie o jakieś pięćdziesiąt kroków, lecz tymczasem i zwierz zbliżył się również do swej kryjówki. Jeszcze chwila i zniknie mi z oczu. Podchodzić go więc i czekać dłużej — znaczyło stracić ostatnią szansę powodzenia. Przesunąłem wizjer w lunecie na największy dystans, naciągnąłem przyśpiesznik i, opierając broń na pierwszym zrębie skały, zacząłem mierzyć.

Było tak daleko, że trafić mogłem wypadkiem tylko; krzyżujące się w lunecie cieniutkie nitki zakrywały cel prawie zupełnie. Dotknąłem wreszcie cynгла i — chybiłem. O kilkanaście kroków za zwierzem podniósł się z ziemi mały obłoczek pyłu; ku-

ła poszła górą. Starąłem się strzelić kiedy stworzenie było największym i kiedy najłatwiej było celować.

Po strzale nagle, jak balonik gumowy ukłuty szpilką, zwierzę zrobiło się małym i znikło. Kiedy z Mabrukim podszedłem do miejsca, na którym stało, znaleźliśmy kilka odciętych kulą długich kolców, z jakich robią obsadki do piór.

Zagadka była wyjaśniona: strzelałem do jeżozwierza, który rósł i zmniejszał się, podnosząc lub kładąc po sobie długie na dziesięć cali kolce. Zmieniająca się wciąż postać zwierzęcia zwiódła mnie i trafiłem w jego zjeżone kolce, a nie w ciało.

Było to moje jedyne spotkanie z jeżozwierzem, który z nory swej wychodził nocami tylko i od kuli myśliwego pada rzadko. Pociuszając się, że nie chybiłem zupełnie i wzięwszy „na pamiątkę” najdłuższy z kolców, ruszyliśmy dalej.

STANISŁAW ZABOROWSKI

NOC NA WOŁYNIU

Rano depezo wałem przez Radziwiłłów do leśnictwa w Baraniu o przysłanie koni na wieczorny pociąg. „Posłańcem” — innymi słowy jeszcze trzy złocisz dopłaty. Przy najmniej sprzyjających okolicznościach konie powinny dotrzeć na dworzec radziwiłłowski na czas. Właśnie nie dotarły. Trzeba było nająć miejscowy wehikuł za złotych pięć (poco ta depesza z „posłańcem”). Leciwa koścista szkapą usiłowała kłusować po względnie dobrej żwirówce.

Na miejsce przeznaczenia dobiłem grubo po godzinie 21. Okazuje się, że leśniczy pojechał do miasta, skąd przyjechałem, o depeszy, a tem więcej o moim przyjeździe, nikt nic nie wie. Na domiar złego jestem tutaj pierwszy raz. Trzeba sobie jakoś radzić. Wieś na szczęście ciągnie się niedaleko pod lasem. Odszukałem najbliższego gospodarza, u którego, jak się okazało, myśliwi już zatrzymywali się. Zakładam kwatery i, przyrządziwszy na maszynie spirytusowej coś nieco do przelknięcia, postanawiam czekać na leśniczego. Grozi mi utrata rannego podjazdu rogacza.

Opuściłem chałupę i powędrowałem powoli pod las, oddając się całkowicie nastrojowi czerwcowej nocy. Pogoda była wspaniała. Cudnie wygwieżdżonego nieba nie plamiła najmniejsza chmurka. Księżyc wytoczył swą tarczę i ciekawie rozglądał się, srebrząc las, pola i wieś jakby szronem. Niby rozjaśniał mroki nocy, ale jednocześnie przysłał tajemniczym całunem wszelkie kształty, pobudzając fantazję do wyczarowywania przedziwnych zjaw przy lada napotkanym krzaku. Wieś szybko usypiała. Nie migoce już ani jedno światełko. Nawet psy nie przerywają ciszy niepotrzebnym ujadaniem. A jednak czerwcowej nocy wołyńskiej cichą nazwą nie było można.

Wiosna oddawała berło latu i noc wrzała życiem, życiem w pełni rozwoju, tętniącym radością.

Za wsią, w dół rzeczki, ciągnęły się mokre łąki, bagniska i topiele. Stamtąd dobiegały mnie najliczniejsze głosy, świadczące, że mieszkańcy radowali się życiem beztrudnym. Chóry żab koncertowały zawzięcie. Jeden bliski i dwa dalsze. Pod wprawną batutą swych dyrygentów bądź uderzały razem głos-

no, radośnie, bądź jedne milkły, a drugie podejmowały fortissimo przerwana pieśń — pieśń pogodnej nocy, ku chwale życiodajnego ciepła, pieśń wieczną — ku chwale dobrego Stwórcy, który im, licznym rzeszom żabiego rodu, dozwolił szczęśliwie bytować na wołyńskich łąkach.

W pieśni żab wplatało się miarowo powtarzające się świstanie żółwia. Stary pedant pilnował porządku, aby żabie chóry nie zmyliły taktów. Od czasu do czasu kurki wodne przedrzeźniając żółwia maciły porządek nocnych chórów. Milkły wtedy żaby, żółw gniewnie przyśpieszał i wzmacniał świstanie, aż, zgłuszywszy kurki wodne, uspakajał się, wracał do miarowego wyswistywania taktów. Żaby rozpoczynały przerwana pieśń. Niezawsze udawało się zgodnie zacząć wszystkim trzem chórom. Wtedy jedne po kilku zwrotkach przerywały, jakby wsłuchiwały się pilnie w takty innych, aby po chwili, wpadając w rytm, uderzyć potężnym akordem. Z zamieszania wyśmiewały się chróściele, podając jeden drugiemu ostatnie wiadomości o gadatliwości kurek wodnych, o gniewie żółwia i trudnościach żabich dyrygentów.

Wśród pól bogato przyozdobionych zbożami wabiły przepiórki, oznajmiając wszystkim, że życie i tam ani na chwilę żywo bić nie przestało. Lelek kozodój wyleciał z lasu, mignął cicho nad księżycem i znikł. Niesamowita zjawia. jakby duch, co musi po nocach wyczyniać dziwne łamańce w przestworzach. Księżyc zwolna wysuwał się coraz wyżej, coraz więcej zatapiał wieś, lasy i pola mamiącą poświatą. Żaden odgłos ludzkiej przemyślności nie wdierał się ku wołyńskiej wiosce: ani gwizd maszyny parowej, ani łoskot motoru spalinowego.

Zasłuchany w tę cudną noc, zapomniałem o troskach i kłopotach. Zostały gdzieś daleko poza mną, jak gdyby od Lwowa dzieliło mnie nie marne sto kilometrów, ale przynajmniej sto tysięcy.

Z zadumy ocknęło mnie skrzywienie wózka: wracał leśniczy, jak się okazało, najętami dla mnie końmi, których nie uważał za stosowne posłać w Radziwiłłowie na dworzec, na czas przyścia pociągu.

Zgrzytnęła ludzka powszedniość.

Czar nocy przysł.

JERZY BLESZYŃSKI

DOSTAŁ CZY NIE DOSTAŁ?

Słońce jeszcze wysoko stało na niebie, a na dworze panowała atmosfera rozpalonego pieca, gdy opuszczam leśniczówkę wraz z miejscowym leśniczym Prątkiem.

Dzisiejszy cel naszego marszu był dość odległy, a więc, mimo panującej piekielnej spiekoty, trzeba było wcześniej opuścić chłodne pokoje zaciszego domostwa. Podążając szeroką drogą, prowadzącą wysokopiennym lasem, rozmawialiśmy o bolączce tutejszych okolic, jaką jest klusownictwo, które z rokiem każdym coraz zuchwalsze przybiera formy.

Wreszcie rozmowa zesłała na temat dzisiejszej zasiadki na dziki, które poczynają robić znaczne szkody na położonych pod lasem polach, zwłaszcza jeden z nich, mocny odyniec, sądząc po tropach, upodobał sobie leśne pólko i tam wyczyniał pokaźne spustoszenia w owsie i ziemniakach, przeznaczonych dla jeleni. Wobec tego postanowiłem zasiąść na czatowni, stojącej obok wyżej wymienionego pólka i rozprawić się z nieproszonym gościem.

Jak mi leśniczy meldował, dwie ostatnie noce dzik uctował w owsie — nie widział go wprawdzie, gdyż nie miał do niego szczęścia, jak twierdził; skoro bowiem zasiadał w czatowni, dzik napewno nie wychodził, a w wieczory, których nie spędzał na zsiadce, przekonywał się o jego bytności, znajdując nazajutrz świeże tropy i szkody.

Wkrótce opuściliśmy wysokopienny bór i wkroczyliśmy w rewiry, w przeważającej części zalesione gęstemi zagajeniami. Idąc napotykaliliśmy sarny ciągnące na żer, zwłaszcza serce myśliwskie radował widok licznych kóz z młodem.

Z przyzwyczajenia każde mijane pólko czy golaźni leśną lustrowałem lornetką. Zbliżaliśmy się właśnie do niskiej kultury, na której wczoraj widziałem starego kozła, którego należałoby odstrzelić. Mając jeszcze dużo czasu i znajdując się w znacznej odległości od miejsca wychodzenia dzika, mogłem ryzykować strzał. Wdrapałem się więc na stojącą na górcie czatownię, z której roztaczał się widok na całą kulturę. Niestety, prócz jednej sztuki, stojącej wśród zrzadka rosnących sosenek, a która okazała się starą kozą, nic nie dojrzałem, powróciłem więc do kontynuowania dalszej drogi.

Wkrótce natknęliśmy się na trop mocnego byka, który przechodził z jednego zagajenia w drugie. Zciszyliśmy kroki, zbliżając się do celu, a znalazłszy się na pólku, ostrożnie i bez hałasu weszliśmy po drabinie do wnętrza ambony, zamykając za sobą drzwiczki, jedynie otwierając okienko, z którego można było doskonale obserwować poletko o formie prostokąta, ze wszystkich stron otoczone lasem. Nasza czatownia stała na skraju wyższej drągowiny, przed nami zaś rozpościerało się morze zagajników, z prawej strony stopniowo podnoszących się na górzystym terenie. Gdzieś wśród tej gęstwiny obrał sobie legowisko oczekiwany dzik.

Same pólko obsadzone było w połowie ziemniakami, burakami pastewnymi i owsem, od przeciwległej ściany zagajenia dzieliła mnie przestrzeń 100 metrów.

Sprawdziliśmy wiatr przy pomocy zapałki, był dla nas pomyślny. Błądą tarcza pełni księżycy wschodzi-

ła na niebie. Z za lasów, od strony łąk doleciał odgłos dalekiego strzału, z cichym świstem przeciągnęła blisko nas para kaczek, zdążających zapewne na wieczorne żerowisko na polach jęczmienia. W tym momencie wyszła z zagajenia koza z dwojgiem młodych, wietrząc pociągnęła powoli w stronę owsa, wkrótce ukazały się dwa zające i pokicały na środek pólka.

Zaczynało stopniowo zmierzchać, księżyc coraz wyraźniej występował na niebie. Wygodnie się rozsiadłszy, oparłem się o ścianę czatowni i przymknąłem oczy, popadłszy w zamyślenie; kiedy po pewnym czasie podniosłem wzrok, na pólku panowała już wieczorna szarość, kontury żerujących sztuk zacieślały się.



Z Puszczy Kurpiowskiej, nadl. Kolno. Kapitałny rogacz, ubity przez p. T. Belżeckiego

Wtem gdzieś w zagajniku zaskrzeczała sójka i oto nastąpiła chwila, znana zapewne wielu myśliwym, w której odczuwa się instynktem zbliżającą się zwierzynę. Wyteżyłem wzrok i słuch. Sztuki, które do tej chwili spokojnie żerowały, poczęły niespokojnie oglądać w zagajnik, powoli schodząc z pólka, aż znikły pomiędzy pierwszemi sosenkami lasu po przeciwnej stronie golaźni. Zbliżyłem twarz do okienka, niedaleko w zagajeniu pękła z cichym trzaskiem gałązka, a po chwili ponownie, ale już znacznie bliżej. Dzik chodzi. Tylko czy aby wyjdzie? Czekamy... cisza...

Wreszcie, znużony oczekiwaniem i wyteżonym wypatrywaniem, zwracam na chwilę wzrok do wnętrza ambony; kiedy go znów na pólko skierowałem, ujrzałem czarny kształt w pasie ziemniaków, tuż nad skrajem zagajenia — trwało to ułamek sekundy i znikło. Mimo szczegółowego przepatrywania miejsca pojawienia się czarnego kształtu, nic nie widzę. Naraz dostrzegam wyraźnie w szklach lornetki wychodzącego dzika, staje na brzegu pólka i wietrzy, by nagle zniknąć tak niespodziewanie, jak się pojawił.

Psiakrew! — klę szeptem, musiał dostać od nas wiatru, wyglądał wprawdzie raczej na dobrego wycinka, niż na odyńca, ale to mnie nie pociesza. Cichą wymianę zdań z leśniczym przerywa mi nagłe pojawienie poruszającej się czarnej plamy pod przeciwległą ścianą zagajenia, tym razem na brzegu owsa. W szklach lornetki dostrzegam potężnego odyńca,

który w tej chwili robi półobrót i staje do mnie pełną komorą. Nie czekam dalszych niespodzianek, chwytam stojący obok mnie sztucer, delikatny trzask przyśpiesznika, krzyżyk lunety mam na komorze niezbyt wyraźnie rysujących się konturów zwierza. Cisnę na spust i równo ze strzałem cel niknie, słyszę jedynie uderzenie kuli, tak charakterystyczne dla trafnych strzałów. Prałat niestety nic nie może powiedzieć, gdyż, nie chcąc mi przeszkadzać, odsunął się od okna.

Schodzimy na półko i pośpieszamy na miejsce strzału. Pustka... Pochyleni szukamy tropów, znajdujemy bardzo niewyraźnych kilka śladów, wskazujących, że dzik zwrócił w miejscu i skoczył w zagajenie; farby nigdzie nie znać, zresztą już jest tak ciemno, że i tak trudno ją było dostrzedz... Dostał czy nie dostał? Oto pytanie, które poczyna mnie teraz dręczyć, a na które trudno odpowiedzieć, gdyż, niestety, nie wiedziałem jak dzik zachował się po strzale, jedynie usłyszany odgłos kuli przemawia za trafnością strzału.



Dr. Franciszek Mroczkowski z Kowla
z ubitym odyńcem

Narazie niema innej rady, jak wracać, tak też czynimy, a jutro skoro świt postanawiamy przyjść poszukać farby. W drodze powrotnej roztrząsam wszystkie za i przeciw. Prałat twierdził, że zwierzę dostał, wprawdzie opiera o twierdzenie li tylko na mojej wprawie strzeleckiej, ale ja jestem daleki od tak zarozumiałych przypuszczeń; zresztą dostał, to jeszcze mało. Czy aby śmiertelnie? I czy nie wyjdzie gdzieś przez granicę? Zły jestem na siebie, że tak się pośpieszyłem i nie wyczekałem odpowiedniejszego na strzał momentu, gdy dzik wyjdzie z cienia sosen na jaśniejszą przestrzeń półka.

Wprawdzie dzik rzadko kiedy pada w miejscu, od czuwam, że celowałem dobrze, więc nadzieja mnie jeszcze nie opuszcza.

Przybywszy do leśniczówki, zjadłem kolację, niewymownie smakującą po trudach łowieckiego dnia, i z przyjemnością wyciągnęłem się na łóżku, by za chwilę chrapać już w mocnym śnie. Świt zastaje nas przed leśniczówką, tym razem towarzyszy mi dwóch leśniczych, ojciec z synem, oraz pies, który aż trzęsie się od łowieckiej ochoty, spoglądając mądrze w oczy, jakby odgadywał, że tym razem chodzi o grubszą

sprawę. Wraz ze wschodzącym słońcem przyjeżdżamy na półko i idziemy na miejsce strzału.

Nie bez emocji rozpoczynam szukać farby, ale na próżno. Prałat zagłębia się na czworakach w zagajnik, szukając na gałązkach i opadłym igliwiu śladów posoki, ale także bez rezultatu.

Nie dając jednak za wygraną, zawracamy i idziemy gankiem myśliwskim w głąb zagajnika, do dołu z wodą, położonego opodal półka, może tam znajdziemy jakieś ślady, gdyż wiadomo, że dzik ranny lubi wytaczać się w błocie.

Przybywszy do dołu, znajdujemy ślady, ale jeszcze z przed wieczora; dzik widocznie przyszedł tu wykapać się i wytrzeć o sosenki, i stąd ruszył na półko, na którym go strzelałem. Niema innej rady, jak obejść zagajniki duktami naokoło i zobaczyć czy dzik wyszedł, co też czynimy.

Młody leśniczy zostaje z psem na półku, z tem, że skoro zatoczmy łuk i znajdziemy się na dukcie po drugiej stronie zagajenia, nawprost miejsca strzału, damy mu okrzykiem znać, by puścił psa. Idziemy, obserwując pilnie piaszczystą powierzchnię leśnej drogi, która zataczając półkole obejmuje niem najbliższe od półka zagajenia. Doszedłszy do połowy duktu, znajdujemy trop dziczy, ale wejściowy — widocznie tędy wczoraj przyszedł. Idziemy dalej i wkrótce natrafiamy na świeży, ale mało wyraźny trop wyjściowy, który przechodzi przez twardą w tem miejscu drogę i wpada po przeciwnej stronie do zagajenia.

Wyszedł! Wprawdzie trop wydaje się trochę mały, może należy do pierwszej widzianej wczoraj sztuki? Zawracamy i, znalazłszy się wprost półka, dajemy znak wpuszczenia psa. Z tyłu mam gęsty młodniak, a przed sobą dwieście metrów zagajenia, które mnie dzieli od półka. Zamarliśmy w oczekiwaniu, psa jednak ani nie słychać, ani nie widać. Na nasze zapytanie odkrzykuje nam młody leśnik, że psa wpuścił i tyle go widział. Wobec tego ojciec każe mu wejść w zagajenie i psa przywołać. Sami ruszamy na lewe skrzydło w „góry”, w miejsce, gdzie prowadzi przed chwilą odkryty ślad.

Reszta nadziei oddawna już mnie opuściła, ale nie chcę mieć sobie do wyrzucenia, że nie dołożyłem wszelkich starań do sprawdzenia, czy dzik wyszedł zdrów. Oddaliliśmy się już kawał w „góry”, gdy doleciało nas hopkanie. Wracamy, wreszcie dochodzimy do półka, zdaleka już widzimy młodszego leśnika, który przybiega, meldując: „Dzik jest!”

Podążam na miejsce; leży w zagajeniu, przywaliwszy swym ciężarem dwie sosenki; piękny odyniec, o połyskujących groźnie szablach. Tu opowiada nam rozemocjonowany znalazca, jak, wszedłszy w zagajenie, dowołał się psa, który po ponownym rozkazie „szukaj”, poszedł odrazu w tę samą stronę, skąd przyszedł, a on podążył za nim częściowo na czworakach, częściowo przedzierając się przez zwarte sosenki, i doszedł do dzika.

Wyciągamy odyńca na półko, konstatując przytem, że padł o 90 kroków od miejsca strzału; farbę znać było dopiero o kilka kroków od upadku. Podniósłszy wzrok z nad wspaniałego trofeum, spotkałem się z rozbłyskującymi zadowoleniem spojrzeniami obu leśników.

JEZIORO SAJENEK

Pociąg zatrzymał się w Augustowie. Ocknąłem się z lekkiego snu, zebrałem pośpiesznie swój bagaż, składający się z dubeltówki w futerale oraz podróżnej myśliwskiej torby i w ostatniej chwili wyskoczyłem na peron. Pociąg po dwuminutowym postoju ruszył w kierunku Suwałk. Do leśniczówki, położonej nad jeziorem Sajen, było około pięciu kilometrów. Rozejrzałem się naokoło w poszukiwaniu jakiegoś środka lokomocji, lecz w krótkim czasie z przykrością stwierdziłem, że ostatnia bryczka zabrała kilku pasażerów i zniknęła w ciemnych czeluściach szosy, wiodącej do Augustowa. Kierownik ruchu zgasił kilka elektrycznych żarówek, skąpo oświetlających stacyjne zabudowania i wszystko pograżyło się w egipskich ciemnościach.

Postanowiłem odbyć drogę pieszo. Jako kierunek drogi wybrałem sobie tor kolejowy, gdyż rozdzielał dwa bliźniacze jeziora, Sajen i Sajenek. Nad jednym z nich leżała leśniczówka, drugie było celem mojej podróży. Przerzuciłem strzelbę przez ramię i ruszyłem torem w znanym mi kierunku.

Ogarnęła mnie ciepła lipcowa noc. Po obu stronach toru kolejowego drzemała puszcza Augustowska. Szedłem skupiony, gdyż całe roje myśli tłoczyły się do mojej głowy. W tej właśnie kniei, w nadleśnictwie Krasnem, przeżywałem zeszłego roku niezapomniane wrażenia na tokach głuszcowych, a nieco później podchody i oczekiwania z ambony na rogaćca. Dużo pięknych chwil wyniosłem z tych bagien i nieprzeniknionych gąszczy, które z przyjemnością tak często wspominam. Z wielkim pietyzmem błądziłem wzrokiem po opuszczonych konarach sędziwych świerków i niebotycznych sosen. Błogi spokój panował wokół. Rzyskrzone niebo słało błogosławieństwo na uspiomy świat. Ciepłe powietrze, przepojone zapachem żywicy, przyjemnie lechtało nozdrza. Tor początkowo prosty zaczął falować, odsłaniając za każdym zakrętem nowy fragment z tajemniczego otoczenia. Nie żałowałem tego, że podróż odbywałem pieszo, do ogólnego bowiem kielicha wrażeń dolałem jeszcze jedną kroplę.

Wkrótce tor zaczął opadać coraz niżej, powietrze stawało się chłodniejsze i bardziej orzeźwiająjące i oto wśród czarnej koronki sosen mignęła srebrzysta tafla jeziora Sajen. Byłem u celu podróży. Na prawo, na wzgórk, stała leśniczówka. Wszedłem do zagrodzenia i zobaczyłem otwarte podwoje stodoły. Nic nikomu nie mówiąc, zagrzebałem się w świeżym sianie, po uprzednim nastawieniu budzika na drugą godzinę.

Był już świt, gdy na odgłos dzwonka skoczyłem na równe nogi. Pół godziny później w towarzystwie gajowego schodziłem z pagórka w dół, gdzie jezioro Sajenek obmywało swemi falami stopy odwiecznej puszczy. Wybrałem to jezioro, a nie Sajen, z tego powodu, że było bardziej zarośnięte sitowiem i więcej uczęszczane przez kaczki kilku gatunków, które chętnie gnieździły się w przybrzeżnych oczeretach.

Łódź była przygotowana. Kilkoma mocnymi uderzeniami odbijamy od brzegu i, przedostawszy się przez zielony pierścień trzciny, wypływamy na czystą wodę. Jezioro jeszcze spało. Nieruchoma, niczem

niezamacona toń rozlewała się szeroko i ginęła w oddali na przeciwnym brzegu. Zarumienione od wschodzącego słońca opary leniwie kłębiły się po powierzchni, przysłaniając chwilami horyzont. Dopiero ciepłe promienie rodzącego się dnia poszarpały bezlitośnie mgłę, która w popłochu biła się o chwiejące się trzciny, uciekała i kryła się trwożliwie w sitowiu. Miarowe uderzenia wiosel i ostry krzyk perkozów przerywały panującą ciszę.

Wrażenie budzącej się natury było tak namacalnie potężne, że czułem się wpleciony w bieg rzeczy, czułem się częstką otoczenia. Z pobliskiego lasu buchała uderzająca woń dojrzewania. Łódź skierowała się na drugi koniec jeziora, skąd miałem zamiar rozpocząć polowanie. W miarę zbliżania się do brzegu dno jeziora podnosiło się wyżej, woda stawała się bardziej przezroczysta, zdradzająca coraz wyraźniej tajemnice toni. Długie, zielone warkoczki podwodnych traw falowały wężowemi ruchami na tle połyskliwych muszli, zdobiących niedalekie dno.



Okolice Buska-Zdroju. Z polowania na kaczki i kuropatwy
Fot. inż. R. Troszok

Wtem poderwało się stadko cyranek i miękkim świszczącym lotem przemknęło obok. Zagrzały raz po raz dwa strzały. „Spadła” — zauważył milczący do tej pory gajowy. Przechyliłem się przez burtę i podniosłem z wody zabitego ptaka. „Teraz popłyniemy wzdłuż zarośniętego sitowiem brzegu” — rzekłem, wskazując kierunek ręką. Gajowy kiwnął głową i łódka, zatoczywszy łagodny łuk, wzięła kierunek, płynąc nad skrajem trzciny.

Niekiedy zrywały się z hałasem krzyżówki, lecz trafione celnym strzałem ciężko spadały w sitowia, lub spudłowane uciekały niskim lotem nad samą powierzchnią jeziora, aby zapaść na drugim brzegu, w szuwarach. Największy kłopot mieliśmy z odszukiwaniem zabitych kaczek. Spadały przeważnie w największe gąszcze, dokąd trudno było docisnąć się łodzią. Na to, aby można było wysiąść i brodząc po wodzie odszukiwać kaczki, było w tych miejscach zbyt głęboko. Złożyło się jednak tak szczęśliwie, że każdorazowo nasza cierpliwość w poszukiwaniach została wynagrodzona, tak że przez cały

dzień nie straciliśmy ani jednej kaczki! Psa z sobą nie wzięłem, gdyż wiedziałem, że w takiej sytuacji niedużo by nam pomógł.

Kaczek naogół było mało, ponieważ większa ich część była jeszcze Nielotna.

Słońce podnosiło się coraz wyżej, zatapiając z lubością swoje promienie w przezroczystym błękitnie wód. Chłód poranka ustępował miejsce rozgrzanemu powietrzu lipcowego dnia. Srebrzyste zawiesiny drobnych muszek drgały nad sitowiem. Dzień barwny, rumiany, jak dojrzałe jabłko, co samo spadło

z gałęzi, zapanował nad przebudzonym światem. Lekki wiaterek zmarszczył spokojną do tej pory powierzchni wody i miłośnię zaszemrał po oczerzetach.

Łódź dobiła do brzegu. Poranne polowanie było skończone. Wyskoczyłem na brzeg. Gajowy wyrzucił na ląd zabite kaczki. Do leśniczówki było niedaleko. Wspinając się na pagórek, spoglądałem w dół, gdzie w szerokich brzegach rozlewało się jezioro Sajenek.

EDWARD BOHDANOWICZ

NA MARGINESIE ARTYKUŁU „NASZE DZIERZBY”

W ogłoszonym w numerze 14-tym „Łowca Polskiego” artykule p.t. „Nasze dzierzby” prof. Gürtler rozprawił się z temi ptakami w sposób zdecydowany i kończy swe wywody nawoływaniem do strzelania ich przy każdej sposobności.



Ubite gołębiarze

Fot. Wł. Dydziński

Nie mam zamiaru wszczynać z Szan. Autorem dyskusji na temat specjalnie dzierzb, chciałbym tylko na marginesie tego artykułu poruszyć dwie kwestje, które zdaniem moim zasługują na uwagę. Chodzi mi mianowicie o zagadnienie szkodliwości ptaków w oświetleniu prof. Gürtlera i jego stosunek do pewnych zjawisk w przyrodzie, oraz o sposób, w jaki autor sprawy te omawia. Ponieważ z tego rodzaju nastawieniem, jakie cechuje prof. Gürtlera, a któremu dawał on niejednokrotnie wyraz, spotkałem się parokrotnie, uważam, że rzecz ta powinna być poruszona właśnie na łamach prasy łowieckiej.

Istnieje cały szereg zwierząt, które człowiek, najczęściej rolnik, nazwał szkodnikami i których zniknięcie z powierzchni ziemi powitałby z radością. Lista tych zwierząt była pierwotnie duża, gdyż zbyt pochopnie zaliczono do niej szereg gatunków, które później pod wpływem zarówno obiektywnych badań prze-

ciwników, jak i zapalonych ochraniaczy, zostały zrehabilitowane, uznane za nieszkodliwe, lub nawet na pożyteczne. Pożyteczne oczywiście w znaczeniu gospodarki człowieka, w przyrodzie bowiem rozróżnienie takie jest pozbawione istotnego sensu. Szkodliwość jakiegoś gatunku tem bardziej nasuwa się uwadze człowieka, im więcej bezpośrednich szkód on wyrządza, im łatwiej zauważyć można jego szkodliwą działalność. Lecz wyłączne stwierdzenie tej strony działalności zwierzęcia nie wystarcza jeszcze obecnie, aby go potępić i skazać na zagładę. Przed wydaniem sądu należy obiektywnie zbadać ile dobrego daje ten gatunek i dopiero później zastanowić się nad ogólną oceną.

W przypadku dzierzb może być mowa jedynie o pośrednich, bardzo problematycznych zresztą szkodach, wyrządzanych przez te ptaki. Szkodliwość ich polegać ma na niszczeniu plectwa śpiewającego, które obecnie nareszcie doczekało się uznania w oczach rolnika i leśnika. Nie przeczę, że czasami padnie jakieś pisklą czy nawet ptak dorosły ofiarą którejś z dzierzb, ale nie widzę w tem powodu do skazywania na zagładę całych gatunków. Prof. Gürtler zbyt podkreślił te przypadki i stworzył obraz dzierzb ptakożernych, urządzających krwawe masakry wśród drobnych śpiewaków. Jest to obraz zupełnie fałszywy i może nawet, dla poparcia wniosków Autora, nieświadomie tendencyjny, gdyż nie wydaje mi się możliwe, by nawet prof. Gürtler, który miał widocznie wyjątkowe szczęście tak często spotykać się z „krwiożerczemi” gąsiorkami (nie rudzikami!), twierdził, że gatunek ten wpływa np. na dostrzegalne zmniejszenie się ilości ptaków w danym terenie. Nie może być więc mowy, by którakolwiek z dzierzb była szkodnikiem w znaczeniu gospodarstwa rolnego czy leśnego i aby szkody przez nią wyrządzane były odczuwane przez rolnika.

Z artykułu prof. Gürtlera przebija jednak istotny powód animozji do dzierzb. Jest nim czysto uczuciowa przesłanka niechęci do „krwiożerczych tyranów, okrutnych rozbójników”. Autor stoi bez zastrzeżeń po stronie napadniętej przez dzierzbę makolągwy i oburza się na napastnika. Dlaczego? Nie da się zmienić faktu, że jedne zwierzęta zjadają drugie, trzeba sobie zdać sprawę, że nie jest to mord w znaczeniu ludzkim, a normalny objaw walki o byt, zdobywanie pożywienia dla siebie i dzieci. I w takim przypadku prof. Gürtler „ściga ptaka mściwym wzrokiem”, lub nawet co gorsza zabija go z floweru! Z jakiego tytułu ma człowiek uzurpować sobie prawo karzącej

„sprawiedliwości”? Jakaż jest różnica między słowikiem zjadającym gąsienicę, a krogulcem napadającym na tegoż słowika (vide „Nasze skrzydlate drapieżniki” tegoż autora)? Mam wrażenie, że makolągwie jest zupełnie obojętne czy jej „morderca” padnie ofiarą „karzącej” kuli flowerowej czy nie, tak samo jak obojętne jest gąsienicy zjadanej przez słowika, że jej „morderca” zostanie „pożarty” przez krogulca. Czyż ten strzał do dzierzby będzie sprawiedliwym wyrokiem? Moim zdaniem to właśnie będzie bezcelowem morderstwem, żadnej korzyści nie przynoszącem, a tak słusznie potępianem w etyce myśliwskiej.

Sądząc z tonu, w jakim mowa jest o nabijaniu zdobyczy na kolce, rzecz ta przemawia według Autora również przeciw gąsiorkowi. Pozwolę sobie przypomnieć prof. Gürtlerowi zjawisko znacznie, moim zdaniem, „potworniejsze”, nad którym jednak nikt rąk nie łamie, ani się nań nie oburza. Oto gąsienicznik, składający swe jajeczka do ciała żywej gąsienicy, którą rozwijające się larwy żywcem pożerają od środka. Zjawisko w pojęciu człowieka niewątpliwie okropne, ale nikt jakoś nie nawołuje w imię humanitaryzmu do niszczenia dręczycielskich gąsieniczników.

Przyroda nie jest ani okrutna, ani pobłażliwie łagodna. Te określenia wogóle nie mają tu zastosowania, są bowiem pojęciami ludzkimi, do ludzi dostosowanymi. Tymczasem Szan. Autor dzieli ptaki na dwie odrębne grupy. „Okrutne” drapieżniki, do których skłonny jest zaliczyć i dzierzby, i reszta drobiazgu ptasiego, padającego ofiarą prześladowców. Kierowany sympatją lub antypatją, używa określeń, mających różną wagę znaczeniową. Dlaczego słowik lub szczygieł zjada, a dzierzba czy krogulec morduje i pożera, dlaczego srokosz ma szpony, dlaczego gąsiorek plądruje gniazdo dzwońca, a młode masakruje? Tego rodzaju tendencyjność używanych określeń daleka jest od obiektywizmu, a narzucając czytelnikowi skojarzenia innej kategorii i działając na uczucie, stwarza pożądany przez Autora podkład dla wniosków końcowych.

Wreszcie sposób omawiania zjawisk. O zwierzętach i zjawiskach przyrodniczych pisać można rozmaicie, to też uwagi, które teraz pozwalam sobie uczynić, są oczywiście innego rodzaju. Szan. Autor, zdaniem mojem, zbyt antropomorfizuje ptaki oraz używa zbyt „ludzkich” określeń dla opisanja różnych faktów w przyrodzie. Weźmy charakterystykę dzierzby. Czego tu niema! Inteligencja, odwaga, zmysł orjentacyjny, wrodzone okrucieństwo, krwiożerczość, rozwydrzenie, zuchwałość — słowem cechy zupełnie „lombrozowskie”. A krogulec — przytomność umysłu, podstępność, chytryść! Nie można charakteryzować ptaka tak, jak się to czyni z człowiekiem. Określenia muszą być używane oględnie, z wniknięciem w treść i rozważeniem czy dany termin stosuje się do jakiejś cechy ptaka i istotnie ją oddaje. Przesada w tym kierunku i nieoględność w rzucaniu przymiotników prowadzić może łatwo do fałszywych wniosków, a już napewno nie przyczyni się do wyrobienia właściwego sądu o jakimś zwierzęciu.

Ta właśnie przesada, a może zbytne oburzenie na dzierzby podyktowało zdanie, którego chyba przez przeoczenie nie skreślił autor w artykule. „Jakiś

dziwny rozdźwięk, jakiś cyniczny fałsz wkraść się zatem wraz z gąsiorkiem do przybytku boskiej, niezakłamaniej przyrody!”. Frazes — piękny może w formie, ale pusty, oddziaływający wyłącznie na bezkrytyczną uczuciowość czytelnika, szkodliwy w swym sensie, zbędny i nic nie mówiący w poważnym artykule. A cel jaki temu przyświeca — tępienie dzierzby — czyż jest istotnie tak ważny, by usprawiedliwić taki sposób przedstawiania zjawisk? Wierzę, że można żałować i litować się nad pisklęciem wbijanem na kolce przez gąsiorka, lub nad słowikiem napadany przez krogulca, ale nie wolno z tej racji potępiać ptaka, który w sposób sobie właściwy poluje i zdobywa pożywienie, a co więcej skazywać na wytepienie gatunku. Za wiele bowiem i tak ingeruje człowiek w przyrodzie, by jeszcze wkraçał w nią w roli sędziego, karzącego niezawinione „zbrodnie”.

WL. RYDZEWSKI



Parostki rogakca, upolowanego w Mętnej (Nadniemeńskie Kółko Myśliwskie) przez p. D-ra A. Sznerra

NASZE ZAWODY W STRZELANIU MYŚLIWSKIM W ŚWIETLE BALISTYKI

Najpierw kilka słów o chlubnej przeszłości tego sportu i o jego upadku.

Przed wojną światową zawody w strzelaniu myśliwskim były dla nas myśliwych dniem istotnie uroczystym; wszystko, co żyło i strzelectwem się interesowało, śpieszyło na strzelnicę, by tam do późnego wieczora z pełnym zainteresowaniem śledzić rezultaty strzelań wzgl. brać w nich udział.

Liczba zawodników przekraczała zawsze z górą 100, a komitet miał poważną troskę, by przed nastaniem zmierzchu ukończyć strzelanie.



Mocne rogacze, ubite przez p. J. Korybut-Daszkiwicza w maj. Myślęcinek pow. bydgoskiego

Na tygodnie przed dniem konkursu grzmiała strzelnica od strzałów trenujących zawodników; do zawodów sprawiano sobie specjalną broń, a zapał i zainteresowanie, jakie się obserwoowało, uprawniały do najlepszych nadziei w kierunku rozwoju tego sportu.

Wojna światowa, która w każdej bez wyjątku dziedzinie życia społecznego wywarła swój destrukcyjny, wszystko od fundamentów burzący wpływ, nie oszczędziła i sportu strzelania myśliwskiego.

Po tym kataklizmie dziejowym przypuszczać by należało, że wartość cnót rycerskich wogóle, a w szczególności rozwoju strzelectwa, spotka się z większym zrozumieniem i że one awansować będą przed innymi kierunkami, do których się zwróci zamysłowanie młodzieży.

Tak jednak nie było.

Zainteresowanie bowiem sportem strzeleckim zaczęło wbrew oczekiwaniom w dość szybkim tempie zanikać i dożyliśmy najpierw takich faktów, że ledwie kilkunastu zawodników i to głównie ze „starej”, przedwojennej „gwardji” się zjawiało, a w końcu — o hańbo! — nie odbywały się wogóle zawody przez szereg lat... z powodu braku zawodników! Piękne i liczne

nagrody nie nęciły już, a piłka nożna, siatkówka itp. zajęły kierującą rolę.

W czym leżało istotne źródło tej apatii?

Skarżono się zwykle na brak broni, trudność dostania amunicji i jej drożyznę, utyskiwano na brak możliwości treningu itp.

Było w tem niewątpliwie dużo racji, ale wyczuwam, że przyczyna leżała głębiej — mianowicie świat cały był przemęczony wojną i miał dość... strzelania i wszystkich sportów, przypominających wojnę (np. szermierka!); wołał więc pokójowe sporty, jak tenis, ping-pong itp.

Trwało to dobrych kilka lat, zanim ta pacyfistyczna apatia minęła i młodzież nasza z pod znaku św. Huberta wzgl. P. Zw. Strzel. Sport. zaczęła odczuwać potrzebę prawdziwych, bardziej rycerskich zawodów.

Mówiąc o powołaniu z powrotem do życia sportu strzelania myśliwskiego, nie sposób pominąć milczeniem zasług na tem polu naszych krajowych wytwórni amunicji, jak np. P.W.P. Pionki, Warsz. Spółka Myśl., Pocisk i inne, które, urządzając co roku zawody i łożąc na nie poważne fundusze, oraz popierając je na każdym polu — wzbudziły znowu duże w tym kierunku zainteresowanie i pozwoliły osiągnąć nawet na arenie międzynarodowej piękne rezultaty.

Gdy Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie przeobraził się w Polski Związek Łowiecki i objął kierownictwo spraw łowieckich na terenie całej Polski, została powołana do życia także Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego, której głównym zadaniem jest podniesienie poziomu sprawności strzeleckiej u naszych myśliwych, a specjalnie zorganizowanie tego sportu na jednolitej podstawie i kierowanie dalszym celowym jego rozwojem.

Praca Kom. Gł. Strz. Myśl. znalazła swój wyraz w wydanym w lipcu r. b. „Regulaminie Narodowym Myśliwskich Strzelań Sportowych”, ustalającym ogólne zasady i przepisy, wedle których mają się te zawody odbywać, oraz szczegółowe przepisy strzelania do rzutków.

Mam wrażenie, że Kom. Gł. Strz. Myśl. ujmie także inne gałęzie tych zawodów (strzelanie kulami do stałych i ruchomych sylwetek, strzelanie śrutem do ruchomych sylwetek itp.) w dalszym ciągu swojej pracy w pewne ramy wzgl. szczegółowe przepisy, choćby z tego powodu, że — o ile dobrze wyczułem myśl przewodnią K. Gł. Strz. Myśl. — chodzi o wzięcie w ewidencję i klasyfikację w s z y s t k i c h myśliwych w Polsce także pod względem sprawności strzeleckiej. To można skutecznie tylko na podstawie rezultatów osiągniętych przy co roku odbywających się obecnie powiatowych, wojewódzkich i narodowych zawodach. Tylko na podstawie takiej klasyfikacji można wydać t r a f n y sąd o poziomie i podniesieniu się wzgl. obniżeniu strzelectwa myśliwskiego w Polsce. Do tego jednak jest nieodzowne, by wszystkie te zawody odbywały się mniej więcej wedle j e d n e g o programu i aby do oceny rezultatów j e d e n klucz istniał.

Oczywiście będą między zawodami zawsze różnice, nie dające się usunąć, bo w każdym powiecie ma strzelnica swoje specjalne właściwości; na jednej dadzą się zachować np. ustalone przez Kom. Gł. Strzel. Myśl. odległości, na innej musi się je zredukować.

Tu trzeba będzie jakieś sprawiedliwe „handicapy” zastosować.

Jako niepowołany, nie będę się ważył zapuszczać w szczególności organizacyjne, pozostawiając tę dziedzinę powołanym do tego czynnikom.

W niniejszej mojej pracy pozwolę sobie tylko nasświetlić obecnie u nas w zwyczaju będące sposoby przeprowadzania strzelania myśliwskich ze stanowiska baliستیki i zaproponować pewne zmiany i uzupełnienia w nadziei, że wywrą one dodatni wpływ na poziom tego sportu w Polsce.

*

Chcąc logicznie uzasadnić moje zapatrywania i wnioski, pozwolę sobie najpierw określić cele, jakie mają zawody w strzelaniu myśliwskim.

Są one:

a) Z punktu widzenia obrony Państwa wyrobienie sprawności strzeleckiej jednostek oraz zaufanie do broni.

Należy bowiem pamiętać, że na wojnie nic tak nie działa dodatnio na moralną stronę kombatanta, nic mu tak nie dodaje spokoju i odwagi, jak właśnie uczucie, że gdy chwila krytyczna nadejdzie, to broń, którą w garści trzyma, pozwoli mu stanąć do starcia z widokiem zwycięstwa.

Często słyszy się, że dziś wobec tak olbrzymiego postępu techniki wojskowej, główna rola przypadnie karabinom maszynowym i artylerji, a ręczny karabin teoretycznie zostanie do pewnego stopnia zdystansowany wzgl. zdegradowany do broni osobistej i nie będzie grał już tej roli, co dawniej.

To jest teoria, praktyka daje dowody, że i obecna forma wojny będzie obfitować aż nadto w epizody, w których ręczny karabin lub pistolet wzgl. osobista sprawność strzelecka główną rolę odegrają.

b) Podniesienie sprawności w użyciu broni myśliwskiej, ale nie po to, by możliwie szybko wiele zwierzyny wybić, lecz by przez umiejętne strzelanie ilość postrzałków do minimum ograniczyć i dokonywać aktu zabijania zwierzyny możliwie kulturalnie, w myśl zasad etyki łowieckiej.

Cele te można osiągnąć jedynie uprawiając racjonalnie sport strzelania myśliwskiego; uważam osobiście „zaprawę” w strzelaniu myśliwskim wprost na biednej zwierzynie za karygodny dyletantyzm i brak najprymitywniejszych zasad ludzkości. Kogo nudzi strzelanie do tarcz, komu szkoda na ten cel amunicji — ten niech zrezygnuje z polowania wogóle!

*

A teraz przypatrzmy się, jak wyglądają pojedyncze „numery” programów naszych zawodów myśliwskich. Nie będę szczegółowo opisywał warunków strzelania do pojedynczych sylwetek stałych lub ruchomych, bo są to szczególności ogólnie znane.

Przejdę zaraz do tych szczegółów, co do których mam pewne zastrzeżenia, wzgl. proponuję uzupełnienia lub zmiany.

1. „Małokalibrówka” (cal. 22) i jej używanie na zawodach myśliwskich. Osobiście uważam małokalibrówkę za broń nadającą się do wstępnych ćwiczeń dla młodocianych adeptów strzelectwa, ale nie widzę dla niej miejsca na zawodach w strzelaniu myśliwskim. Jeśli chodzi o trening, to odpada przy tej broni huk i odrzut, te dwa czynniki, które przy strze-

laniu z poważnej broni myśliwskiej tak wielką rolę grają; skutek tego jest zaprawa tą drogą osiągnięta bardzo jednostronna i mało warta.

Małokalibrówka, strzelająca do pewnych odległości bardzo precyzyjnie, ale zabijająca zwierza notorycznie źle — powinna być wogóle z terenu, który ma coś z myślistwem wspólnego, kategorycznie wyeliminowana.

Jest to broń o charakterze broni skrytobójczej, broń wskutek tego coraz bardziej przez kłusowników używana i biada zwierzynie, a także i personelowi straży łowieckiej, gdy broń ta jeszcze większe niż dotąd znajdzie wśród kłusowników zastosowanie.



Strażnik łowiecki z pow. płońskiego przy ubitych przez p. J. Korybut - Daszkiewicza w Myślicinku rogaczach selekcyjnych

Każdy wie, że mały odgłos strzału tej broni pozwala niemal pod chatą strażnika łowieckiego, w jasną noc księżycową, strzelać, nie alarmując nikogo. Jak łatwo zasiąść na przesmyku zajęczym i gasić jednego za drugim kicającego szaraka! Jak łatwo podkraść się pod spokojnie pasące się sarny i odstrzelić wzgl. pokaleczyć kilka sztuk nawet! Jak łatwo celnym strzałem w głowę lub serce „usunąć” niewygodnego strażnika lub policjanta! Do tego celu nadaje się niestety „małokalibrówka” doskonale. W dodatku niektóre modele tej broni są specjalnie tak skonstruowane, że jednym chwytem pozwalają odjąć lufę od łoża i ukryć je pod kurtką lub kożuchem. Łatwo zrozumiałem jest, jak to ułatwia kłusownictwo i jak utrudnia wykrycie zbrodni.

„Na świecie — nic nowego!” — mówi Ben Akiba, czy któryś inny Manichejczyk. Tem bowiem, czem dziś jest „małokalibrówka” — była około r. 1750 wynaleziona przez jakiegoś Włocha, rusznikarza w Wiedniu, osławiona „Windbüchse”; był to rodzaj powtarzalnej(!) wiatrówki większego kalibru, o której źródła niemieckie (autentyczne zapiski) podają, że jeden z książąt niemieckich używał jej z powodzeniem w polowaniu na jelenie. Cesarz Franciszek I uznał ją za broń wojskową i uzbroił pewne oddziały tyrolskich strzelców w tę broń; te walczyły z Napoleonem bardzo skutecznie, ten zaś, uznawszy „Windbüchse” za broń skrytobójczą, nakazał każdego w nią uzbrojonego jeńca rozstrzeliwać. W dość krótkim czasie zlikwidowano we wszystkich państwach wyrób broni tego systemu, głównie ze względu na jego charakter skrytobójczy.

Tyle na temat „Windbüchse”. Wracam do „małokalibrówki”.

Jako broń do trenowania, ma ona niewątpliwie wielki awantaż tani ości amunicji i to jest główny powód, że znalazła ona tylu zwolenników.

Ale niech nikt nie sądzi, że trening taki, w strzelaniu myśliwskim, szczególnie do ruchomych celów, ma jakiś praktyczny rezultat. Nie należy bowiem zapominać, że chyżość wylotowa „małokalibrowki” wynosi $V_0 = 330$ m/sec, tj. mniej więcej tyle, ile ma śrut, opuszczając lufę.

Jeśli tedy ktoś, pilnie trenując z „małokalibrowki” np. do sylwetki „biegnącego dzika”, dojdzie do takiej wprawy, że np. na 50 m każdym razem zrobi „dziesiątkę” i wyczuwa już podświadomie ile ma na podstawie tego ćwiczenia „zakładać” przed „dziką”, to wzięwszy na polowanie szlucer o szybkobieżnej kuli (np. $V_0 = 800$ m/sec), trafi dzika niewątpliwie w „tabakierę” lub złamie szczękę, skazując nieszczęsne zwierzę na śmierć głodową! Jest to najprzykrejsze, co się myśliwemu zdarzyć może! Możliwość wzgl. duże prawdopodobieństwo tego, dzięki treningowi z „małokalibrowki”, udowodnię w dalszym ciągu niniejszej pracy.

„Małokalibrowka” nietylko nie nadaje się jako instrument do trenowania, ale jest nawet wprost szkodliwa.

Dlatego precz z „małokalibrowką” z terenu św. Huberta i ze wszystkich imprez, stojących w łączności z myślistwem!

Tyle na temat „małokalibrowki”.

2) Ocena strzałów do tarczy ruchomej „biegnącego dzika”.

Jest to numer programu każdego bez wyjątku strzelania myśliwskiego i dlatego zastępuje, by mu szczególniejszą uwagę poświęcić.

Jak wiadomo, znormalizowana u nas obecnie tarcza, przedstawiająca „biegnącego dzika”, ma wielkość 90×115 cm i jest podzielona na 12 pierścieni wzgl. pól.

Wśród tych ostatnich widzimy strzał w „tabakierę” honorowany aż 3-ma punktami! Za co?! Za strzał wprawdzie śmiertelny, bo trudno, by zwierzę ze zgruchotaną dolną lub górną szczęką mógł żyć, ale strzał taki, jak już nadmieniałem, skazuje go na śmierć głodową!

Logicznym więc jest, żeby strzał taki był najwyraźniej napiętnowany jako strzał niegodny myśliwego; niestety to, co się u nas coraz częściej słyszy, wskazuje na to, że strzały w „tabakierę” coraz częściej się na polowaniach trafiają.

Jeśli się nad tem z punktu balistyki zastanowimy, to łatwo odkryjemy przyczynę: leży ona w szybkobieżności modnych pocisków, która obecnie już daleko przekroczyła chyżość wylotową: $V_0 = 1000$ m/sec — a potem w nieświadomości myśliwych w tym kierunku.

Chcąc podać ściśle realne odnośne dane, wziąłem pod uwagę kilka typowych naboju i obliczyłem ile powinno się „zakładać” przed komorę, by na 75 m (100 kroków) trafić ją, gdy dzik idzie z szybkością 4 m na sekundę.

W tabeli poniżej podałem najpierw dane odnośnie do zwalczanej przezemnie „małokalibrowki”, chcąc jej szkodliwość wykazać. Dalej przytoczyłem „express”, jako typowego reprezentanta kuli „wolnobieżnej”, potem 8 m/m „mausera”, broni dziś przez ogół

myśliwych bodaj czy nie najbardziej używanej, której kulę w elaboracji Nr. 118 już jako „szybkobieżną” uważać należy — a końcu dwa typy broni o wybitnie „szybkobieżnej” kuli.

Nabój	Chyżość wylotowa V_0 w m/sek.	Chyżość w 100 metrach V_{100} w m/sek.	Przebieg chyżość w 75 m.	Czas potrzebny do przebycia 75 metrów (100 kroków)	Należy założyć przed komorę	U w a g i
„Małokalibrowka” Cal 22, long rifle 5'6 m/m	330	302	316	1/4 sek.	1'00 m.	Elaboracja Nr. 500 Długość lufy: 650 m/m
Express 360 9'3 m/m — 7'2 m/m	446	378	412	1/5'5 sek.	0'73 m.	Elaboracja Nr. 70 Długość lufy: 650 m/m Proch: dymny 3'2 gr. C w. B6 Pociski: ołow., bezplaszczkowy, 14'7 gr.
Mauser 8 m/m 8—57 J	752	705	728	1/9'5 sek.	0'42 m.	Elaboracja Nr. 118 Długość lufy: 600 m/m Proch: 2'9 gr. Rottweil 5 Pocisk: H, 12'7 gr.
Mannlicher-Schönauer kal. 6'7 m/m	1005	845	925	1/12 sek.	0'33 m.	Elaboracja Nr. 112 Długość lufy: 600 m/m Proch: 2'9 gr./39 Pocisk: „S” półplaszczkowy, 6'0 gr.
7 — 64	963	837	900	1/12 sek.	0'33 m.	Elaboracja Nr. 109 Długość lufy: 720 m/m Proch: 3'9 gr. Rottweil 2 Pocisk: „S”, 9'0 gr.

Jeśli dane te uważnie ze sobą porównamy, to najpierw widzimy, że kto do tarczy dzika trenował małokalibrowką lub wogóle żadnego kulowego treningu nie przeszedł, strzelając tylko śrutem — na polowaniu, zbrojny choćby w 8 m/m mausera, najprawdopodobniej trafi dzika w „tabakierę”. Jeszcze większe prawdopodobieństwo tego nieszczęsnego strzału istnieje u strzelca, który bez należytego treningu uzbroi się nagle w modny sztuciec o wybitnie szybkobieżnej kuli (np. 7×64 lub 6.5×57).

Uważając, że koniecznym jest jaknajbardziej intensywne wskazywanie na szkodliwość takiego strzału, jestem tego zdania, że przy zawodach strzał w „tabakierę” i wogóle przed linię pionową, idącą przez oko dzika — należy nietylko uważać za chybiony, ale nawet karcić w ten sposób, że taki strzał będzie się liczył: — 5 punktów (minus pięć punktów)!

Z tego samego stanowiska wychodząc, jestem tego zdania, że i strzały w rapety, dotąd honorowane 1 punktem, powinno się liczyć jako chybione (0), bo przecież dzik tam trafiony farbuję wprawdzie, ale bez doskonałych psów-dzikarzy niepodobna go dojsć. Mówię tu nawet z własnego doświadczenia, bo raz zdarzył mi się taki strzał — było to o godz. 9-ej rano — a dzika, tylko dzięki doskonałym psom, dostaliśmy dopiero o godz. 15-ej jadąc saniami i idąc za postrzałkiem 14 klm! Dzik ten padł w istocie od kuli na komorę, zaaplikowanej mu w chwili, gdy dzielnie zaszarżował psy.

3) Strzał śrutem do ruchomej sylwetki „zająca”.

Na wszystkich prawie zawodach myśliwskich praktykuje się u nas ten konkurs w tej formie, że tarcza przedstawiająca sylwetkę zająca, idącego „na pościel”, posuwa się w odległości 50 kroków (35 metrów) z szybkością 4 m na sekundę; w tej sylwetce znajduje się zwyczajny gliniany rzutek o średnicy około 12 cm, a zadaniem myśliwego jest rozbić ten rzutek.

Ponieważ nasze przepisy nie podają numeru śrutu, którego przy tym konkursie należy używać, przeto wielu strzelców używa śrutu Nr. 6 (2.5 m/m), a nawet Nr. 7 (2.25 m/m), bo mają większe prawdopodobieństwo gęstym snopem tego śrutu trafić rzutek, niż gdyby używali prawdziwego zajęczego śrutu np. Nr. 2 (3.5 m/m).

Konkurs w takiej formie odbiega bardzo od warunków istotnych na polowaniu, gdzie z reguły używa się śrutu Nr. 1 (3.75 m/m), Nr. 2 (3.50 m/m), a w ostateczności Nr. 3 (3.25 m/m). Wprawdzie śrutem Nr. 6 lub Nr. 7 można zabić zająca, ale na 35 m jest b. d. u. że prawdopodobieństwo, że zając zostanie postrzelony, czego właśnie dobry myśliwy powinien absolutnie unikać.

Również wartość całego treningu drobnym śrutem należy postawić pod znak zapytania, biorąc pod uwagę choćby to, że chyżość śrutów np. Nr. 2 (3.5 m/m) w 35-ym metrze wynosi 237 m/sec, podczas gdy chyżość śrutu Nr. 6 (2.5 m/m) na tę samą odległość ledwie 196 m/sec wynosi, nie mówiąc o Nr. 7, którego $V_{35} = 185$ m/sec.

Dlatego jestem tego zdania, że przy konkursie do „biegnącego” zająca powinien być dopuszczany numer śrutu, którym się zwyczajnie do zająca strzela, a wyluczony drobny śrut, jako że strzały nim na polowaniu dawałyby liczne postrzałki; uważam Nr. 2 (3.5 m/m) jako najwłaściwszy.

Nie koniec jednak na tem.

Nie ulega żadnej kwestji, że zawody pod egidą P. Zw. Ł. mają na celu zachęcić do uprawiania tego sportu nie tylko elitę strzelców, zbrojnych w znakomite, dalekonośne „gołębiarki” (kal. 12, nabój long), ale głównie szarą rzeszę myśliwych, strzelających z broni przeciętnej, by podnieść sprawność strzelecką ogółu, a nie wybranych jednostek.

Proszę z przeciętnej śrutówki strzelić na 35 m (50 kroków) do rzutka o średnicy 12 cm, śrutem zajęczym np. Nr. 2 (tj. 3.5 m/m), osadzonego w sylwetce zająca, a przekonamy się, że na 10 strzałów będzie rzutek 2 razy trafiony i rozbity, podczas gdy z tych 10 strzałów każdy obsypie sylwetkę zająca tak, że na polowaniu niewątpliwie tak trafiony szarak za każdym razem skoziółkowałby na miejscu.

Widzimy więc, że dla przeciętnej strzelby będzie rezultat konkursu w tej formie (rzutek w sylwetce zająca) zależał w dużej mierze od szczęścia i będzie nadawał mu charakter... loterii, podczas gdy dla broni specjalnie do tego skonstruowanej moment ten odpadnie.

Przy stosowaniu więc metody „rzutka w sylwetce zająca” honorujemy raczej strzelbę a nie strzelca, co chybia zupełnie celu, jaki przyświeca tym zawodom.

Jeśli jeszcze do tego dodamy fakt, że strzelanie śrutem do ruchomej sylwetki zająca pod wyżej wymienionymi warunkami, nawet przy przebiegu ograniczonym do 8 m, nie przedstawia żadnej sztuki i jest

najłatwiejszym chyba z punktów programu — to odnosimy wrażenie, że właściwie nadaje się ono raczej jako ćwiczenie wstępne w strzelaniu śrutem dla początkujących adeptów myślistwa — ale jako numer programu zawodów w poważnym strzelaniu myśliwskim, to trochę zanadto łatwy „punkt”.

Mam wrażenie, że należałoby ten punkt programu zaostrzyć, by był istotnym sprawdzianem stopnia sprawności strzeleckiej, a przytem ile możności wyeliminować zupełnie rolę przypadku, natomiast zabezpieczyć możliwość skutecznej konkurencji także przeciętnej broni, przesuając punkt ciężkości na strzelca, a nie na broń.

Pozwalam sobie tedy zaproponować reformę w następujących kierunkach:

a) Przedewszystkiem nie strzelajmy na 50 kroków do celu wielkości rzutka (średnica 12 cm), bo tu będzie grał rolę przypadek; jak to już bowiem wykazałem, można doskonale sylwetkę zająca obsypać śmiertelnymi śrutami, a mimo to nie trafić rzutka.

Strzelajmy na 25 kroków, na którą to odległość kaźda przeciętna strzelba ma 100%owy rozrzut w kole średnicy około 60 cm, bo wówczas mamy gwarancję, że przy dobrem wycelowaniu broni sylwetka zająca będzie gęsto śrutem okryta i wszelki przypadek, wszelka loteria wykluczona.

Aby jednak utrudnić strzał i podnieść go do godności i poziomu poważnych zawodów, zrobmy przebieg nie 8 m lecz najwyżej 4 m, oczywiście z tem obostrzeniem, że złożyć się wolno konkurentowi dopiero po ukazaniu się tarczy. Strzelanie w tak obostrzonych warunkach będzie trudne. Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie przytoczyć następujący fakt. Oto przed kilku laty, gdy to jeszcze zawody w strzelaniu myśliwskim spały głębokim, powojennym snem, a Kom. Główna Strzelectwa Myśliwskiego zdaje się wcale jeszcze nie istniała, wzgl. jeszcze żadnego znaku życia nie dawała, odbyły się w Ziemi Złoczowskiej zawody, w których na mój wniosek, jako jeden z momentów programu, figurowała sylwetka zająca z rzutkiem, przebieg: 3 metry, odległość: 15 m (20 kroków) — czyli warunki, przy których strzela się do królików na wąskim „dukcie”.

Wśród zawodników było kilku doskonałych strzelców śrutowych; zaczęto tonem pełnym ironji pytać: „Czy mamy strzelać kulami z małokalibrowki?” Zbyłem te drwiny pogardliwym milczeniem, wyznając zasadę, że „najlepiej śmieje się ten, kto się na końcu śmieje”.

Rozpoczęło się strzelanie.

Pierwszy „matador” rżnie pięć razy do sylwetki, mknącej przez „dukt”, jak dobrze naoliwiony... piotrun — i — ma... pięć pudeł!

Następny... ditto! Widzę nosy... nieco przydłużone. Następny... ditto! Nosy... dłuższe! Ogólna konsternacja!

W rezultacie na 6-ciu doskonałych strzelców, a więc na 30 strzałów, była sylwetka jeden (!) raz trafiona!

Nosy się całkiem wydłużyły — „lud począł szemrać”, że „Generał nas nabił w butelkę!” — a teraz ja zacząłem się śmiać.

W rezultacie Komitet zezwolił wszystkim zawodnikom powtórzyć ten numer, oczywiście za złożeniem powtórnego „strzałowego”, ale — o ile sobie przypo-

minam — nikt więcej nie zrobił, jak po 3 trafne strzały na 5 przebiegów.

Nie dziw! Wszak o dublowaniu mowy niema! O celowaniu również! Trzeba było strzelać „z przyrzutu”, a na jakąś poprawę prawdopodobieństwa trafienia przez rozrzut „snopa” niema co na tę odległość liczyć, bo rozrzut wynosi około 40 cm średnicy, a nawet mniej, szczególnie z „gołębiarek”.

Tu miał strzelec sposobność pokazać co umie.

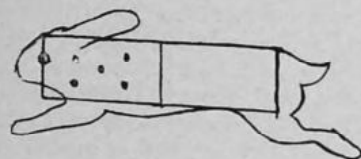
Jeszcze jedna „nowalijka”!

Przyzna mi każdy, że jako dobry strzał do zająca należy uważać taki, którym przód zająca jest trafiony. Wprost wstrętny jest na polowaniach widok zający, trafionych w zad i wlokących się na przednich skokach, dobijanych pałkami przez naganiaczy, a świadczy zawsze o tem, że strzelec nigdy żadnej szkoły strzeleckiej nie przeszedł, nie ma wyobrażenia o „zakładaniu” — a skąpi naboja, by biedakowi męki skrócić.

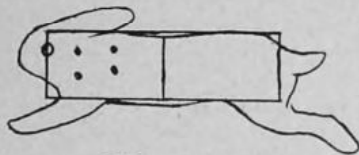
Honorujemy więc przy zawodach myśliwskich strzały w przód a karzymy strzały w tył.

Proponuję skutecznie to w następujący sposób:

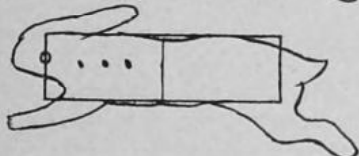
Na sylwetkę zająca przypina się pluskiewkami pasek papieru długości 60 cm, szerokości 12 cm (tj. tyle ile mniej więcej wynosi powierzchnia zająca, nie licząc skoków, słuchów, omyka itp.), tego samego koloru co sylwetka tarczy; pasek papieru jest cienką, dla



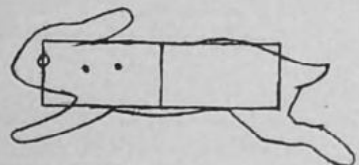
3 punkty = 5 śrutów
w przedniej połowie



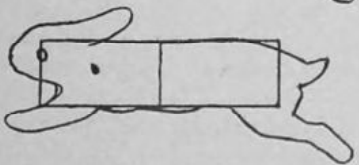
2 punkty = 4 śrutu
w przedniej połowie



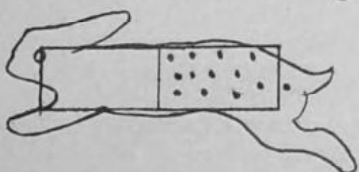
1 punkt = 3 śrutu
w przedniej połowie



1 punkt = 2 śrutu
w przedniej połowie



0 = 1 śrut w przedniej
połowie liczy się już
jako chybiony strzał.



— 1 punkt = śrutu w tylnej
połowie liczy się: —
1 punkt tj. odciąga
się za każdy taki
strzał po jednym
punkcie od ogólnej
sumy zdobytych punktów.

strzelca niewidoczną kreską pionową, podzieloną na dwie równe części.

Strzela się wyłącznie śrutem Nr. 2 (3.5 m/m), a honoruje się strzały tylko w przednią (w kierunku ruchu) połowę trafionej kartki i to wedle przedstawionego obok klucza.

Sposób ten oddaje szczególnie przy zaprawie doskonałe usługi, bo pozwala strzelcowi przy każdym strzale stwierdzić, gdzie śrutu uderzyły i wyeliminować własne błędy w celowaniu wzgl. ściąganiu cynгла i w tem leży jego wyższość nad strzelaniem do rzutka w sylwetce zająca.

Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie przytoczyć, że jednego z moich przyjaciół myśliwych, który notorycznie źle strzelał do zająca, mimo doskonałej strzelby i doskonałych nabojów — wyleczyłem jedną taką lekcją do pasków papieru. Dał około 80 strzałów i przekonał się, że przyczyna pudeł wzgl. postrzałków leżała w spóźnionem ściąganiu cynгла i w „dołowaniu”.

Wypróbowałem tę metodę także przy różnych „domowych” konkursach w gronie gości-myśliwych — i wszyscy bardzo ją chwalili.

Zdaję sobie sprawę z prymitywności tej metody i nie wątpię, że można by ją udoskonalić; pozostawiam to jednak czynnikom do tego powołanym, a więc w pierwszej linii Komisji Gł. Strzel. Myśl.

System ten, bardzo prosty przy obliczaniu, ma jeszcze tę korzyść, że jest bardzo tani. Rzutek bowiem kosztuje 17 groszy — podczas gdy pasek papieru może ¼ grosza, a to robi różnicę, gdy jest większa liczba zawodników. Samo urządzenie strzelnicy do tego strzelania jest bardzo proste, tanie i prawie w każdym terenie łatwe do uskutecznienia.

4) Strzelanie kulami do ruchomych sylwetek w „dublecie”.

Tak się u nas ogólnie nazywa strzelanie do tarczy, przedstawiającej dzika lub jelenia na odległość 50 — 100 m. posuwającej się z szybkością 6 m/sec na „dukcie” o szerokości 23 m — z tem, że strzelec musi w ciągu jednego przebiegu postać dwie kule do tarczy.

To strzelanie nie przemawia mi z różnych względów do przekonania.

Najpierw „honoruje” się przy tem strzelaniu broń, bo strzelec, zbrojny w drogi „podwójny” sztuciec i strzelający wskutek tego bez odejmowania broni od twarzy, ma bez porównania większe szanse, niż strzelec zbrojny w tani repetjer.

A przecież przyzna mi każdy, że strzelec robiący z repetjera tę samą ilość punktów, co strzelec mający „podwójny” sztuciec — jest bezwzględnie lepszym i sprawniejszym, niż ten ostatni.

Ale i tu różnie bywa. Przypominam sobie następującą ocenę ze strzelania myśliwskiego na VIII Olimpiadzie w r. 1924 w Wersalu: strzela Anglik Mackword z podwójnego „Hollanda” do tarczy „cerf courant” i robi pewną dość okazałą ilość punktów — ile, tego już nie pamiętam. Po nim przychodzi na „stand” Finlandczyk Joansen lub Olsen (również dokładnie już nazwiska nie pomnę), zbrojny w „komiśnego” mazera, wziętego niby ze stojaka izby żołnierskiej, typowej broni wojskowej, w niczem nie przypominający sztucca myśliwskiego. Patrzano na jego chudą, wysoką postać i jego broń z pewnem politowaniem... aż do chwili, gdy zaczął strzelać. Jak szybko ten czło-

wiek strzelał, repetował i broń do twarzy przyrzucał, to była przyjemność obserwować! Rezultat: przestrzelił Anglika o 2 punkty. No, ale taki Finn nie trafia się często! To jest jednak dowód, do jakiej wprawy można dojść, pilnie i racjonalnie trenując.

A teraz weźmy pod uwagę sam „numer” strzelania dwukrotnego do jednej i tej samej ruchomej tarczy. Na polowaniu strzela się w ten sposób tylko, gdy pierwsza kula jest bezskuteczna i zwierz idzie dalej. Tu więc o „dublecie” niema mowy!

Jeśli bowiem mowa jest o strzelaniu „w dublecie” — to powinny być dwie sylwetki, idące w pewnej odległości — np. 3 m jedna za drugą — i do nich ma strzelec strzelać, zmieniając cel!

Przy obecnej formie zawodów strzelec mający „podwójny” sztuciec strzela do jednej tarczy, „poprawiając” niby drugim strzałem pierwszy nieskuteczny strzał.

I w tem jest zasadnicza, bardzo ważna różnica.

Uważam, że strzelanie do dwóch sylwetek, idących jedna za drugą — jest bardziej racjonalne i rzeczywistości odpowiadające, niż to obecnie u nas i zagranicą stosowane strzelanie „w dublecie”, które z dubletem nie ma nic wspólnego i jest raczej próbą sprawności szybkiego oddania po sobie dwóch strzałów.

Myszę więc, że byłoby bardzo praktyczną nowością nawet na międzynarodowej arenie, gdyby strzelano do dwóch sylwetek, a nie do jednej — szczególnie że nie ma żadnych poważniejszych trudności w skonstruowaniu dwóch tarcz, poruszających się w odpowiedniej odległości równocześnie.

To byłoby prawdziwe strzelanie „w dublecie” — a nie poprawianie drugim strzałem postrzałka lub pudła, jak to dziś praktykujemy.

Również uważam za słuszne, właśnie przy tym „numerze” o ile mają „podwójne” sztucce lub półautomaty, (jak np. browningi kulowe) — stawać do zawodów z repetjerami, by na korzyść tych ostatnich było unormowane pewne „wyrównanie” (handicapy), bo jak już nadmieniałem — więcej wart jest strzelec repetujący, niż inni.

Proponuję honorowanie tego ostatniego o 20% więcej.

O ile dobrze zrozumiałem sprawozdanie w Ł. P. Nr. 14/39 z XIV Narodowych Zawodów Strzelectwa Myśliwskiego w Warszawie, to tam strzela się do dwóch sylwetek dziczyc — na innych jednak strzelnicach w Polsce dubluje się jeszcze ciągle do jednej sylwetki.

Jeśli chodzi o wykazanie sprawności w szybkim repetowaniu i strzelaniu, to proponuję następujący „numer”: ruchoma tarcza pojedynczego dzika lub jelenia przebiega dukt szerokości 23 m (normalna „przebieżnia” na międzynarodowych zawodach do „cerf courant”) a strzelec, zbrojny w repetjer, strzela, jak może najszybciej, bez ograniczenia ilości strzałów i zdobywa przy każdym przebiegu w ten sposób pewną ilość punktów.

Ilość przebiegów (np. 5) ustala program.

Suma punktów zdobytych przy wszystkich przebiegach rozstrzyga o wartości strzelca.

Oczywiście, że z punktu strzelania myśliwskiego przedstawia ten „numer” w tej formie nie taką wartość, jak z punktu wartości bojowej danego osobnika — i nadać się raczej do „pięcioboju” lub t. p.

Przytoczyłem go zaś dlatego, bo przy jednym większym strzelaniu konkursowym przed kilkunastu laty, przezemnie aranżowanym, umieściłem go w programie i właśnie ten „numer” wzbudził zainteresowanie.

5) Konkurs kniei — jego forma i wartość:

Odbywa się zwykle w tej formie, że strzelec musi być przygotowany tak na strzał kulą, jak i śrutem, zależnie od tego, czy mu się ukaże sylwetka ruchoma dzika, wzgl. rogacza lub lisa (strzał kulą), albo rzutek (strzał śrutem).

Konkurs ten ma na celu wypróbowanie opanowania nerwów i przytomności umysłu i przedstawia z myśliwskiego punktu widzenia ogromną wartość.

Jako broń, wchodzi tu w rachubę dryling lub „kniejówka” (büchsflinta). Jest to jednak już konkurs wyższej klasy, dla specjalnie sprawnych strzelców.

6) Strzelanie z ograniczeniem czasu.

Jestem tego zdania, że zawody w strzelaniu myśliwskim powinny zasadniczo zawsze odbywać się z ograniczeniem czasu celowania; na polowaniu bowiem zwierz nie czeka i ze strzałem trzeba się spieszyć. Również przy naszych zawodach w strzelaniu z pistoletu wzgl. rewolweru uważam ograniczenie czasu za celowe, bo w praktyce bandyta - kłusownik nie czeka i ten w spotkaniu wychodzi cało, kto prędzej strzeli. Raczej odległość zredukować, ale na strzał dać nie więcej, jak 3 sekundy! Nie więcej!

Jako jedyny wyjątek bez ograniczenia czasu celowania koncedowałbym strzelanie przez lunety na dalsze odległości (150 m lub dalej).

7) Uzupełnienie Regulaminu Narodowego Myśliwskich Strzelców Sportowych.

Niemal przy każdym zawodach przychodzi do nieporozumień, protestów itp. i to zawsze z jednakowych przyczyn, które Regulamin Narodowy powinien ująć w takie karby, by wszystkie wątpliwości były raz na zawsze wykluczone.

Do takich spornych kwestyj należą:

a) Używanie przyspiesznika.

Uważam, że do celów nieruchomych (choć przy ograniczonym czasie celowania) jego użycie jest zawsze dopuszczalne, zaś do celów ruchomych powinno być zabronione. Zamiast umotywowania tego mego zapatrywania, proszę sobie wyobrazić, np. na polowaniu na dziki, sąsiada, który stoi na stanowisku z nastawionym przyspiesznikiem! Ja wówczas zasadniczo kryję się za najgrubszego buka! Jak łatwo bowiem o wypadek — np. przy przyłożeniu broni do twarzy itp.!

b) Używanie flintpasa:

Jest to amerykańska metoda, polegająca na zarzuceniu odpowiednio dopasowanego flintpasa przez lewe ramię, tak że po przyłożeniu broni do ramienia ta ani drgnie — oczywiście wymaga to pewnej wprawy w szybkim zarzucaniu flintpasa, stanowi jednak ogromną pomoc przy strzale kulą.

Kto zadał sobie trud i, dopasowawszy długość flintpasa, pilnie ten chwyt ćwiczył, ten niech go zawsze używa na zawodach.

c) Używanie podpórki przymocowanej do pasa lub tzw. „Hasel” (kij leszczynowy 1.5 m długi) jako podpórki — obie u nas mało używane, a bardzo pożyteczne!

Dozwołiłbym użycie tych środków pomocniczych, ale tylko do stojącego celu.

d) Pozycja strzelającego:

Daje również temat do niepotrzebnych dyskusyj na zawodach.

Nie wdając się ze względu na brak miejsca w motywowanie moich zapatrywań, proponuję:

Przy broni krótkiej: pozycja stojąca, pistolet lub rewolwer zwrócony w kierunku na cel, ale nie wycelowany.

Przy celu stojącym (np. sylwetka rogacza) = stojąca lub kłęcząca.

Przy celu ruchomym (np. sylwetka dzika w biegu) = tylko stojąca.

e) Strzały próbne:

Celem strzałów próbnych nie jest wyłącznie próbowanie, czy przyrządy celownicze funkcjonują należycie, lecz raczej zaznajomienie się z tłem strzelnicy, na którym się cel ukazuje i z wpływem oświet-

lenia w chwili strzelania, a także badanie wpływu wiatru.

Są to elementy, stojące zupełnie poza sprawnością strzelecką zawodnika, a ponieważ celem głównym zawodów jest poznanie tej ostatniej, więc usuńmy wszystko, co nam autentyczny obraz sprawności strzeleckiej zawodnika zamglić może. W myśl tego proponuję, aby 2 strzały próbne były zawsze dopuszczalne i to z dowolnej pozycji i bez ograniczenia czasu.

*

Kończę moje uwagi, żywiąc nadzieję, że zainteresują one nie tylko Braci w św. Hubercie, ale także Komisję Główną Strzelectwa Myśliwskiego, że może choć część ich znajdzie swój wyraz w drugiej części „Regulaminu Narodowego”, której rychłego ukazania się wszyscy Łowczowie Powiatowi i aranżerowie zawodów w strzelaniu myśliwskim z niecierpliwością oczekują.

Inż. WALERY MARYAŃSKI

WOLNA TRYBUNA

Głos odpowiedzi pod adresem W. K. S. „Orlęta”

W.K.S. „Orlęta” zabrał głos w rubryce „Wolna Trybuna” (Łowiec Polski N. 14 z dnia 15.VII.1939r.) przez p. płk. obs. Szuka w sprawie zawodów w strzelaniu do rzutków, urządzonych w Lublinie, przez Wojewódzką Radę Łowiecką, w dniu 4 czerwca r. b.

W artykule tym Szanowny Autor, w sposób zresztą kurtuazyjny, poddał krytyce zawody te, stawiając szereg zarzutów, a jako najważniejszy — zakwestjonował uchwałę Kolegium Sędziów, którzy uchwalili, iż strzał z wolnej ręki należy rozumieć, jako strzał z przyrzutu, a więc zawodnik składa się dopiero po wypowiedzianej przez niego komendzie „daj”.

Jako przewodniczący Komitetu Organizacyjnego tych zawodów, uważam się za współwinnego i dlatego uznałem za konieczne odpowiedzieć, nie dla celów czysto polemicznych lecz jedynie dlatego, iż sprawa ta, zdawało się drobna, wywołała aż dyskusję publiczną, a pozatem dyskusję wśród szerokich sfer myśliwskich w Lublinie, którzy wzbraniłi się brać udział w zawodach, urządzanych według dotychczasowej interpretacji.

Nie podejmuję dyskusji co do stopnia doświadczenia członków Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, ponieważ chciałbym utrzymać dyskusję na odpowiednim poziomie, a zresztą nie uważam się za powołanego do tego. Jeżeli jednak Szanowny Autor i to poruszył, odpowiem krótko, że właśnie dotychczasowe doświadczenie spowodowało taką a nie inną interpretację.

W jednym jesteśmy zgodni z Szanownym Autorem, w tem mianowicie, że regulamin zawodów winien być dostosowany do regulaminów czy też zwyczajów, gdzieindziej stosowanych, a zmiana interpretacji już zatwierdzonego regulaminu winna być podana zawczasu do wiadomości zgłoszonych zawodników.

Dlatego też przyznaje lojalnie niedopatrzienie, względnie brak czasu, co spowodowało, że decyzji co do zmiany interpretacji regulaminu nie podano do wiadomości wcześniej, jak na standzie przed rozpoczęciem zawodów, za co uważam za swój obowiązek Pana Pułkownika i Jego Kolegów przeprosić, co zresztą uczyniłem na miejscu zawodów.

Nie będę formalistą, by podnosić takie fakty, że właściwie nie było dotychczas obowiązującego regulaminu dla zawodów wojewódzkich, że „Pionki”, czy też inni urządzali zawody w/g własnych regulaminów, że zatem były to tylko takie czy inne zwyczaje, a nie regulaminy, obowiązujące wszystkich.

Przechodząc do poszczególnych zarzutów, a przede wszystkim do tego najważniejszego, uważam, że bliższe omówienie tej sprawy jest konieczne o tyle, iż fakt tak drobnej zmiany w interpretacji regulaminu miał doprowadzić, według zdania Szanownego Autora, czy też plotki, którą przytoczył, aż do zmniejszenia szans „fachowców”, że wogóle są „fachowcy”, że potrzebna jest specjalna broń dla zawodów, w końcu że stanęliśmy już na granicy możliwości upodobnienia strzelania na zawodach do strzelania myśliwskiego, że każdy dalszy krok w tym kierunku jest już niekonsekwencją i t.p.

Jestem zdania, że jeżeliby faktycznie tak było, to niech te zawody będą ostrzeżeniem, że nie wszystko jest w porządku w naszym strzelaniu do rzutków, że musimy się zdecydować na jasne postawienie sprawy, t.j. na rozdzielanie strzelania zawodniczego dla tych, którzy mogą się wykształcić na „fachowców”, oraz dla tych, którzy miłują ten sport i chcą strzelać i stawać do zawodów, jak równi z równymi. Ponieważ takich, którzy mają specjalną broń i inne warunki, jest mało, zatem głos większości winien mieć również swoją wagę. Nie znaczy to, abym rzucał gromy na „fachowców”, przeciwnie jestem dumny z osiągniętych wyników na terenie kraju i zagranicy, ale muszę się bronić przed gromami za to, że wprowadziliśmy pewne wyrównanie szans pomiędzy „fachowcami”, a szerokimi rzeszami myśliwych zawodników. Wyrażenia „fachowcy” używam w cudzysłowie dlatego, iż użył go Szanowny Autor, i zgóry zastrzegam się, iż nie uważam je za równoznaczne, ani nawet zbliżone do pojęcia zawodowca.

Reasumując, uważam, że jeżeli w strzelaniu do rzutków na zawodach, przeznaczonych dla szerokich rzesz myśliwych, strzał z przyrzutu wyrównuje szanse pomiędzy zawodnikami, to na zawodach w Lublinie stało

się słusznie — i tak zawsze czynić powinniśmy, o ile chcemy zachęcić, a nie odstraszyć ogół strzelający.

W pojęciu zawodów widzimy zawsze szlachetną konkurencję na równych warunkach, nie wymagamy zatem, by ogół stawał do zawodów w pozycji zgóry przegranej, bez najmniejszych nawet szans do zajęcia lepszych miejsc w tabeli. Na zakończenie omawiania tego punktu dodam, że za interpretacją sędziów w Lublinie przemawiał również fakt, iż nie możemy dążyć do takiego zautomatyzowania i zmechanizowania strzelania, by zawodnik nie potrafił inaczej strzelać, jak tylko przy zachowaniu wszystkich warunków, bez najmniejszych nawet odchyień.

Następną kwestją, podniesioną w artykule, to rzekoma „niekonsekwencja” w interpretacji określenia „strzelanie myśliwskie”, która to niekonsekwencja polegać ma na tem, że wprowadzamy strzał z przyrzutu, a zapominamy o tem, iż należałoby wyrzucać rzutki „z niewiadomego dla strzelca stanowiska i w niewiadomej chwili”, i że te warunki są ważniejsze.

Rzeczywiście racja i takie urządzenia strzelnicy są, ale nie u nas, nie wynika jednak z tego fakt, żeby, nie mogąc sobie pozwolić na podobne urządzenia, nie wolno było wprowadzać takich, na jakie nas obecnie stać. Jeżeli myśliwy chodzi po polu z bronią podniesioną w górę lub opuszczoną w dół i składa się dopiero w momencie zrywu zwierzyny, to dlaczego na zawodach „myśliwskich” ma stać z bronią przy oku, ma odprawiać cały ceremoniał z przykładaniem, kilkakrotnem odkładaniem i wywijaniem bronią i t.p., co wygląda wręcz fatalnie, a postawa taka w żadnym chyba razie nie może być uważana za postawę myśliwską. Jeżeli to jest takie ważne i konieczne, niech się nazywa postawą zawodniczą, a nie myśliwską. Jeżeli sposób strzelania i zachowania się według regulaminu międzynarodowego dla strzelania wojskowego odpowiada temu, jak żołnierz strzela w polu, to nie widzę powodu dlaczego myśliwy ma robić inaczej. Uważam, iż to właśnie byłoby niekonsekwencją.

Dalszy zarzut co do regulaminu, a mianowicie postanowienie, że nie wolno zmieniać broni w czasie strzelania, co rzekomo miałyby uniemożliwić korzystanie z pary broni, jest zbyt formalistycznym wyciągnięciem aż tak daleko idących wniosków. W sprawie tej nie było żadnych protestów, ani nawet wyjaśnień, wszyscy rozumieeli to postanowienie w ten sposób, że nie wolno zawodnikowi, który stoi już na stanowisku, zmieniać ciągle broni, pożyczać od innych, jak to się zresztą dzieje. Jeżeli ktoś przychodzi na stand z parą broni, to nie jest to przecież zmiana broni na jakąś obcą, pożyczaną co kilka strzałów.

Odnosnie zarzutów co do samego sędziowania, to możliwe, że były nawet i błędy, według oceny Sz. Autora, ale trudno mi wchodzić w ocenę poszczególnych rozstrzygnięć. Mogą być rozmaite zapatrywania, szersza lub węższa interpretacja, wogóle są to wypadki nieuniknione, które możnaby podnieść przy okazji najbardziej nawet fachowych zawodów.

Wreszcie jeszcze kilka uwag co do wniosków końcowych Sz. Autora, że Zarząd Polskiego Związku Łowieckiego winien wydać regulamin strzelań, obowiązujący wszystkich, dalej, że zawody prowincjonalne muszą być eliminacją do mistrzostw ogólnopolskich.

Zgadzam się z tem w zupełności, zresztą w międzyczasie ukazał się Regulamin narodowy myśliwskich strzelań sportowych, który w § 46 zezwala na dowolne trzymanie broni.

Nie uważam, aby to postanowienie zachęciło ogół myśliwych do urządzania i stawania do zawodów w przyszłości, należy więc tylko żałować, że regulamin nie został uprzednio rozesłany do zaopiniowania przez wszystkie Wojewódzkie Rady Łowieckie i Stowarzyszenia Myśliwskie, zrzeszone w Polskim Związku Łowieckim.



Pani N. K. D. i jej przyjaciółka rysiczka
Fot. B. Korybut-Daszkiewicz, Udryck

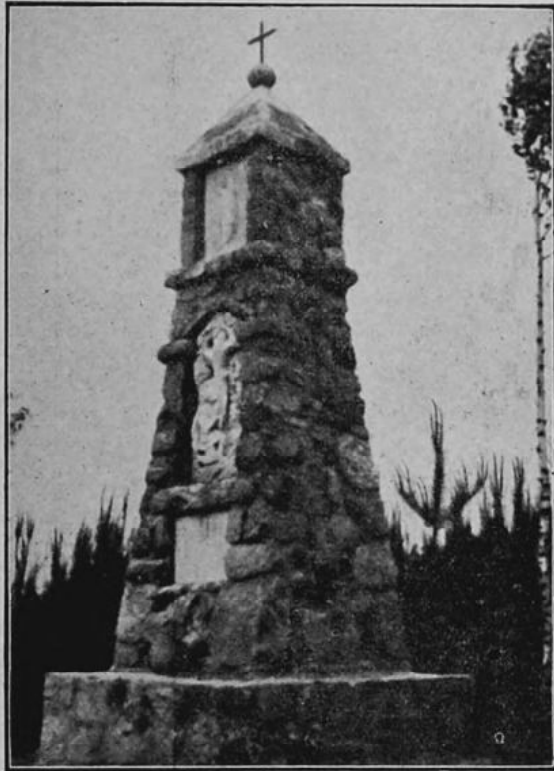
Cały incydent, jeżeli tak nazwać to można, w Lublinie dowodzi, że automatyzacja zawodników zaszła już tak daleko, iż doświadczeni zawodnicy, którzy mają specjalną broń i strzelają dziesiątki lub setki nabojów dziennie, ustępują pola takim, którzy strzelają do rzutków przeważnie tylko na zawodach, t.j. jeden raz do roku, a może i rzadziej.

Ponieważ w Lublinie pierwsze nagrody właśnie tacy uzyskali, a wyrównanie szans, w sposób wyżej wskazany, spowodowało liczny udział zawodników, uważam, iż wobec naszych kolegów i samej idei zawodnictwa postąpiliśmy słusznie, tembardziej, że zawody, o których mowa, nie były żadną eliminacją do zawodów ogólnopolskich, ale zachętą do uprawiania tego pięknego, a mało jeszcze docenianego sportu.

KORNEL ZAWADZKI, mjr.

Figura św. Huberta pod Płockiem

Płockie Towarzystwo Racjonalnego Polowania obchodziło w ubiegłym roku podwójny jubileusz czterdziestolecia: swojego istnienia i prezesury swego twórcy p. mgr. Bolesława Włodkowskiego.



Fotografia figury św. Huberta pod Płockiem

Wyjątkową tę rocznicę Prezes Włodkowski postanowił upamiętnić przez pobudowanie własnym kosztem figury św. Huberta, wybierając w tym celu malowniczo położone Uroczysko Cekanowo, ongiś nieużytki, składające się z falistych wzgórz, głębokich parowów i piaszczystych wydm, ostatnimi laty zalesione i dziś przedstawiające z górą 100-hektarowy obszar bujnych zagajów, otoczonych gruntami wsi Cekanowo-Parcele, a pozostających pod troskliwą i odpowiedzialną opieką państwowego leśniczego p. Rudolfa Spitzery.

Zagaje te, jak i grunty szeregu okolicznych wiosek, od szeregu lat stanowią obwody łowieckie Płockiego T-wa Racjonalnego Polowania, a samo „Uroczysko” leży w odległości mniej więcej 8 klm. od Płocka.

Ufundowana przez p. Włodkowskiego figura św. Patrona myśliwych w lesistym sercu łowiska, postawiona została na wzgórzu, wśród pięknych kultur, nad wąwozem, tuż przy poprzecznej linii, przecinającej zagajenia. Figura ma wysokości 6 m., to też panuje nad piękną okolicą i zdaleka imponuje swymi rozmiarami.

Akt postawienia tej figury został spisany na pergaminie i włożony do szczelnie opieczętowanej butelki, którą wmurowano w podstawę figury. Akt ten brzmi, jak następuje:

„Gdy wszechmocną dłoń Wiekuiętego Boga, porywem najlepszych swych synów Polska zmartwychwstała i z latami skrzepiła się w swej mocy i potędze, a po lasach i borach już swobodnie rozbrzmiewają rogi myśliwskie Płockiego Towarzystwa

Racjonalnego Polowania w 40-ym roku jego istnienia, na pamiątkę i podziękę za rozkosze łowieckie, a w hołdzie i czci dla Patrona łowiectwa

Świętego Huberta

tę figurę na wieczną rzecz pamiątkę, Bogu na chwałę, myśliwym na zachętę i otuchę, przechodniom na pobożne westchnienie, prezes tegoż Towarzystwa, Bolesław Włodkowski funduje dnia 10 sierpnia 1938 r.”.

Podpisali: B. Włodkowski, skarbnik T-wa H. Osiej-Osiński, członek Zarządu Rudolf Spitzera, rzeźbiarz - wykonawca Chmielewski, kierownik budowy Jerzy Spitzera.

Na figurę tę zużyto ponad 20 m³ kamienia i około 15 q cementu. Koszt budowy wyniósł 2 tysiące złotych.

Uroczystość poświęcenia figury odbyła się w maju r. b.

O tym pięknym, nowym pomniku kultu dla św. Huberta dowiadujemy się dzięki zainteresowaniu się nim jednego z nowszych członków Płockiego T-wa Racj. Polowania, p. Juljusza Korybut-Daszkiwicz z Wróblewa pow. płońskiego, który wziął pierwsze wiadomości o nim od nadleśniczego inż. Roszczakowskiego. Materiał do niniejszego opisu czerpaliliśmy z dostarczonej nam przez tegoż notatki wójta gm. Bielino p. Sikory, drukowanej w „Głosie Mazowieckim” z 20—21 maja r. b., a podpisanej „Obserwator”.

Jednocześnie reprodukuje 2 zdjęcia: omawianej figury i u dołu wmurowanej w nią marmurowej tablicy, na której wycuty napis brzmi:



Praca art. rzeźbiarza G. J. Chmielewskiego

„Kaplicę tę ku czci św. Huberta, a myśliwym na pamiątkę, przy współpracy Rudolfa Spitzery, miejscowego leśniczego, ufundował Bolesław Włodkowski, prezes Płockiego Towarzystwa Racjonalnego Polowania R. P. 1938”.

Jeśli dodać, że w bliskim otoczeniu miejsca, na którym wznosi się figura, pracują dwie cegielnie, dalej, że u podnóża Uroczyska znajduje się kolonja letnia „Cekanowianka”, utrzymywana przez Magistrat m. Płocka, do której w letnich miesiącach zjeżdża wiele dzieci, następnie, że po granicy Uroczyska wiedzie droga publiczna ze wsi Słupno do cukrowni „Borowiczki” i że latem odbywa się w całej okolicy wzmożony ruch, to należy są-

dzić, że i z tych ważnych względów miejsce pod figurę zostało celowo wybrane, a ona sama dobrze spełnia swe właściwe symboliczne zadanie.

Pod adresem Prezesa Włodkowskiego i jego współpracowników przy dokonaniu tego dzieła pozwalamy sobie wnieść okrzyk: — Cześć zacnym myśliwym, ludziom wiary i dobrej woli!

Wł. Z.

Otwarcie strzelnicy w Katowicach

Staraniem Śląskiego Tow. Łowieckiego i Wojewódzkiej Rady Łowieckiej powstała na Torze Wyścigów Konnych w Katowicach myśliwska strzelnica, której otwarcie połączone z inauguracyjnymi zawodami nastąpiło w niedzielę, dnia 20 sierpnia 1939 r. W słoneczny ten dzień o godz. 7-ej rano zgromadziła się na strzelnicę brać myśliwska oraz liczna rzesza prawdziwych miłośników i sympatyków łowiectwa.

Prezes Towarzystwa Stanisław Cenkiem dokonał otwarcia nowo wybudowanej strzelnicy i w swym przemówieniu witając zebranych zaznaczył, że aktualny bieg wypadków świadczy o potrzebie usprawnienia społeczeństwa na wszelkich odcinkach życia zbiorowego. Dlatego umiejętność władania bronią i wprawa w strzelaniu jest nakazem chwili, gdyż w razie potrzeby stanowi element siły i zdolności obrony. Tej idei służąc, Śląskie Towarzystwo Łowieckie w przekonaniu, że nic tak nie wyrabia sprawności we władaniu bronią, jak strzelanie do ruchomych względnie znikających celów, oddaje strzelnicę do użytku braci z pod znaku św. Huberta i społeczeństwa. W ten sposób bowiem pragnie osiągnąć podniesienie poziomu kunsztu strzeleckiego przy równoczesnym rozpowszechnieniu zasad prawdziwego łowiectwa, a dalej — pragnie dorzucić cegiełkę do wzmocnienia obronności kraju.

Po tem przemówieniu, nagrodzonym licznymi oklaskami, prezes Towarzystwa, otwierając zawody w strzelaniu do rzutków, oddał strzał honorowy, który, jakby na dobrą wróżbę, okazał się trafny, gdyż ten pierwszy rzutek zamienił się w obłok pyłu.

Wśród wspaniałej pogody i doskonałego nastroju zawodników oraz zebranej publiczności przeprowadził zawody niżej podpisany, jako sędzia główny, przy pomocy pp. inż. Bosiackiego, inż. Radziwińskiego i inż. Marquardta. Zawody traktowano jako imprezę próbną i dlatego strzelano tylko do 30 rzutków w trzech serjach. Udział wzięło 27 zawodników. Pierwszych dziesięciu osiągnęło wyniki następujące:

1. Dyr. Wiktor Witkowski	25/30
2. Inż. Jan Bukowski	22/30
3. Hugon Smoll	22/30
4. Inż. Karol Weps	21/30
5. Wilhelm Johna	19/30
6. Rudolf Lodek	19/30
7. Dr. Roman Drozd	18/30
8. Wiktor Owczarek	17/30
9. Dr. Roman Zieliński	17/30
10. Inż. Eryk Marquardt	17/30

Wymienieni wybrańcy losu wraz z serdecznymi gratulacjami otrzymali po zakończeniu zawodów nagrody wg. kolejności, jak następuje: 1. album skórzany, 2. manierka z przyborami, 3. pistolet pneumatyczny (dar p. Romaulda Mędleńskiego), 4. termos, 5. myśliwska lampa elektryczna, 6. smycz, 7. szpicruta, 8. książka, 9. książka, 10. książka. Nadto nagrodzeni od 1 — 7 otrzymali po egzemplarzu: „W sercu kniei” Stanisława Zaborowskiego. Zgodnie bowiem z odezwą red. Zabielly Zarząd Śl. Tow. Łowieckiego postanowił w wyborze nagród obecnie i na przyszłość kłaść główny nacisk na książki przyrodnicze i myśliwskie, a to w celu popierania i propagowania czytelnictwa łowieckiego.

Widząc ogólną radość i zadowolenie panujące wśród zebranych, opuszczałem zawody w tem przekonaniu, że Śląski świat łowiecki w poczuciu obowiązku organizacyjnego przyszłe zawody poprze liczniejszym uczestnictwem. A także i społeczeństwo miejscowe da wyraz zrozumieniu myśli, której w dobie obecnej dla dobra Państwa wszyscy służyć musimy, a którą już w 1618 roku świetny pisarz łowiecki Jan Ostroróg wyraził w tych słowach: „Ta tedy myśliwska praca sama jest, co czasu pokoju zachowuje rycerskiego człowieka w sposobności do wojny”.

Dr JAN PODGÓRNY

Program zawodów strzelecko-myśliwskich podczas Wystawy Łowieckiej w Równem

Zawody, jak to już było ogłoszone, odbędą się w dniu 16 wrzernia r. b.

Konkurencja I.

50 sztuk rzutków, odległość 15 m., broń śrutowa najwyżej kalibru 12, naboje śrutowe 2,5 mm.; w serjach 10, 15, 15, 10. Wpisowe zł. 10.

Konkurencja II.

Strzał kulowy do jelenia z broni dowolnego kalibru, odległość 100 m., 10 strzałów w 2 serjach po 5 przebiegów. Wpisowe zł. 3.

Konkurencja III.

Strzelanie do dzika pojedynczego, odległość 50 m., 10 strzałów w 2 serjach po 5 przebiegów. Wpisowe zł. 3.

Konkurencja IV.

Strzelanie do dzika podwójnego (dublet), odległość 50 m., po 2 strzały w 5 przebiegach. Wpisowe zł. 3.

Udział w zawodach brać mogą jedynie członkowie P. Z. Ł.

Zgłoszenia pisemne przyjmuje do dnia 10 września Wojewódzka Wołyńska Rada Łowiecka, Łuck, Kraszewskiego 1, w dzień 15 września Komisarz Zawodów p. St. Torka — Pawilon Wystawy Łowieckiej w Równem, zaś w dniu Zawodów zapisy przyjmowane będą na strzelnicę do chwili rozpoczęcia danej konkurencji.

Zawodników obowiązuje Regulamin Narodowy Myśliwskich Strzełań Sportowych.

Amunicja śrutowa kalibru 16 i 12 będzie do nabycia po niższych cenach na miejscu.

Wołyńska Wojewódzka Rada Łowiecka



Państwowe Muzeum Zoologiczne wydało jako zeszyt 3 Tomu III Acta Ornithologica Musei Zoologici Polonici pracę Zygmunta Godynia p. t.: „Występowanie niektórych gatunków ptaków z rzędów Anseriformes i Ardeiformes w południowo-wschodnich okolicach Polski”.

Praca ta jest zestawieniem kaczek, gęsi i czapli, rzadko występujących na południowo-wschodnich krańcach Polski. Ponieważ autor wymienia ptaki interesujące myśliwego, słuszną więc wydaje się rzeczą wspomnieć o tej pracy w „Łowcu Polskim”.

Dowiadujemy się tam, że np. kaczka białogłowa (*Oxyntia leucocephala*), gnieźdząca się w krajach śródziemnomorskich, w Rosji i na Węgrzech, zalatuje czasem do Małopolski i na Śląsk. Znane są cztery wypadki ubicia tego gatunku kaczki na terenie Polski, z których ostatni miał miejsce w miejscowości Nowe Stawy, pow. Przemyśl, w dniu 15.IX.1936.

Kaczki helmiastej (*Netta rutina*), gnieźdzącej się również w krajach śródziemnomorskich, ostatnio ubite zostały w 1936 i 1937 r. trzy okazy, a mianowicie w pow. Tarnobrzeg, Przemyśl i Łuck.

Dalej autor wymienia kaczkę ogorzalkę (*Marila marila*). Z własnych obserwacji dodam, że na Wołyniu, w pow. dubieńskim, na stawie Iwanie, gdzie polowałem w ubiegłym roku późną jesienią, spotykałem dość często ogorzalkę. Również i w tym roku w czasie polowania w Iwaniu na kaczki, w końcu lipca widziałem kilka ogorzalek.

Oidemia nigra, markaczka czarna, jako gatunek wybitnie morski, rzadko zalatuje w głąb kraju. Niemniej znane są cztery wypadki ubicia tego gatunku. Godyń wymienia za Dzieduszyckim okazy zdobyte w latach 1854, 1870 i 1881, oraz podaje nowy wypadek ubicia tej kaczki w r. 1926 w pow. Nisko.

Kaczka edredonowa (*Somateria mollissima*), najpiękniej ubarwiony gatunek kaczki, gnieźdzącej się na północy, rzadko zalatuje do Europy środkowej. Taczanowski podaje dwa fakty ubicia tej odmiany koło Nieszawy i Płocka, prof. Domaniewski dodaje, że w r. 1831 ubito jeden okaz pod Modlinem. Autor wymienia jeszcze jeden okaz zdobyty w 1925 r. pod Tarnopolem, byłoby to więc najbardziej na południe wysunięte miejsce w Polsce, gdzie edredonka była widziana.

Ohar norowy (*Tadorna tadorna*) spotykany bywa też bardzo rzadko w granicach Polski, jest to bowiem ptak zamieszkujący całą Palearktykę.

Gęś rdzawoszyjna (*Rutibranta ruticollis*), zamieszkująca tundry syberyjskie, zalatuje do Polski niesłychanie rzadko. W ciągu ostatnich dwóch lat, jak twierdzi Godyń, ubito w Polsce 5 egzemplarzy.

Gęś białoczelna (*Anser albifrons*), gnieźdząca się na daleko wysuniętych krańcach północy, zalatuje do Polski rzadko, jednak częściej można ją spotkać, niż odmianę poprzednio wymienioną.

Gęś krótkodzioba (*Anser erythropus*) występuje również rzadko. Autor zalicza ją do przypadkowo pojawiających się ptaków, choć Taczanowski i prof. Domaniewski twierdzą, że spotykana bywa częściej od gęsi białoczelnej.

Czapla nadobna (*Egretta garzetta*), gnieźdząca się w Rumunii i na Węgrzech, pojawia się stosunkowo często w Polsce, gniazdowania jej natomiast nie stwierdzono. Czapla ta pojawia się bardzo nieregularnie.

Czapla modronosa (*Ardeola ralloides*) pojawia się bardzo

rzadko. Zawadzki podał ją za ptaka gnieźdzącego się w Polsce, nowsi jednak ornitolodzy nie stwierdzili gniazdowania czapli modronosej w granicach Polski. Godyń podaje, że ostatnio nawet i zalatuje bardzo rzadko.

Wymieniłem tu wszystkie gatunki, podane przez autora w omawianej pracy. W końcu podkreślić należy, że autor ostatnio specjalnie zainteresował się ornitofauną południowej Polski.

W następnym numerze „Łowca Polskiego” omówię inną jego pracę, również o występowaniu ptaków na południu Polski.

Prace p. Zygmunta Godynia idą w kierunku dokładnego zbadania pewnych okolic naszego kraju pod względem ornitofauny. Dobrze byłoby, aby inni ornitolodzy zajęli się też określonymi okolicami, do tej pory bądź mało, bądź wogóle niezbadanymi dokładnie. Ukazujące się co pewien czas zeszyty Acta Ornithologica wypełniają powoli wielką lukę w badaniach ornitologicznych.

Na zakończenie muszę znowu przypomnieć naszemu myśliwym o moralnym obowiązku dostarczania wiadomości i obserwacji uczonym, muzeom i t. d. Nieraz na podstawie takich obserwacji, nawet przygodnych, zmieniają się teorie, budują się nowe, a nauka polska zdobywa należne jej miejsce w dziedzinie nauk przyrodniczych.

MIECZYŚLAW MNISZEK-TCHORZNICKI

*

Mieczysław Mniszek Tchorznicki: „W służbie św. Huberta”, kartki z pamiętnika myśliwskiego, nakładem Wołyńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, 1939. Str. 109 z reprodukcjami zdjęć fotograficznych. Dochód ze sprzedaży przeznaczony na ołtarz św. Huberta w Łucku. Okładkę projektowała Krystyna Mniszek Tchorznicka.

Na wstępie trzeba podnieść ten szczęśliwy objaw, że, jak to widać nie po raz pierwszy, Wojewódzkie Rady Łowieckie, a więc tem samem społeczeństwo myśliwych poszczególnych dzielnic Polski odczuwa potrzebę powiększania skromnej dotychczas polskiej biblioteki wydawnictw łowieckich. A jeśli odczuwają tę potrzebę poszczególne dzielnice i poszczególne grupy zorganizowanych już w P. Z. Ł. myśliwych, to wniosek z tego prosty, że z czytelnictwem książek łowieckich, z ochotą do niego, nie musi być tak źle w tym zorganizowanym już dziś świecie myśliwskim, stanowiącym około czy też ponad 25% polujących w Polsce posiadaczy kart łowieckich.

Korzystając jednak ze sposobności i obowiązku pisania recenzji o tej nowej książce, wyszłej z pod pióra myśliwego praktykującego, co zbiega się z drukowanym w niniejszym numerze „Łow. Pol.” artykułem p. St. Hoppego „W sprawie wydawnictw łowieckich”, zakończonym przez redakcję apelem do wypowiedziania na łamach „Łow. Pol.” dalszych rozważań na ten temat, jakie wydawnictwa są potrzebne i jaki program powinien być przyjęty w tych pracach przez komisję wydawniczą P. Z. Ł., która, stosownie do powziętych uchwał Związku, ma zacząć działać jeszcze w b. roku — pozwalam sobie zwrócić uwagę na pewien dział, pominięty w artykule prof. Domaniewskiego, a wprost zwalczany przez p. St. Hoppego. Mam tu na myśli właśnie beletrystykę i t. zw. wrażenia i opisy z włości myśliwskiej.

Wymienieni autorowie, zabierający głos w dyskusji o potrzebach uzupełnień polskiej biblioteki łowieckiej, o programie systematycznego prowadzenia tej pracy przez Związek, beletrystykę uważają za zbędną. Uważam to za wysoce mylny pogląd. Prócz nauki bowiem, prócz uzupełniania wiedzy, każdy potrzebuje rozrywki i chce ją widzieć w czytanej przez siebie lekturze. Sam uznaję oddawna i głosiłem to publicznie, że dla podnoszenia poziomu praktycznej wiedzy, etyki i „nastawienia” ogółu naszych myśliwych fachowa literatura jest potrzebna przedewszystkiem, lecz uważam, że i lżejsza forma tej ostatniej (vide: St. Hoppe „Polski język łowiecki”), a nawet wprost literatura beletrystyczna (im bardziej artystyczna i piękniejsza językiem pisana, tem lepiej) doskonale może spełniać wiele poważnych za-

dań dydaktycznych, prócz tego interesując swym charakterem, formą, obrazowością i barwami, wreszcie bezpośredniością wypowiadanych uczuć i myśli autora, daleko szersze masy czytających. To też zdaniem moim nie można, projektując pracę wydawniczą dzieł łowieckich na szerszą skalę, zapominać o tym dziale literatury łowieckiej.

Poruszam tu właśnie ten moment, gdyż najlepszym dowodem słuszności mego twierdzenia i zapatrywania są liczne w ostatnich latach fakty zainicjowania przez czołowych myśliwych różnych dzielnic kraju całego szeregu wydawnictw beletrystycznych z dziedziny łowiectwa, lub przynajmniej w połowie zawierających utwory beletrystyczne, opisowe itp. Wyliczmy: Towarzystwo Łowieckie Ziemi Wschodnich wydało w r. 1935 „Myślistwo ziem wschodnich”; Wielkopolski Związek Myśliwych w r. 1936 „Echa polskich łowisk”, a Pomorskie Towarzystwo Łowieckie w r. 1938 „Łowiectwo na Pomorzu”. Wszystkie te „Jednodniówki” przynajmniej w połowie zawierają utwory beletrystyczne i opisowe, co bynajmniej nie miało schlebzać ambicjom autorskim członków Komitetów wydawniczych, lecz celowo było wprowadzone — dla dodania poczytności wydawnictwom zbiorowym, zawierającym także w równej mierze pożyteczne prace fachowe.

Dalej, już przy nowym ustroju Związku i po przetasowaniu ludzi w jego regionalnych placówkach — Wileńska Wojewódzka Rada Łowiecka wydaje tom nowel i opisów Włodzimierza Korcia p. t. „Leśne ognisko”, obecnie zaś Wołyńska Wojewódzka Rada Łowiecka — tom kartek z dziennika myśliwskiego M. Mniszka Tchorznickiego.

Jakiż z tego wniosek? Oto potrzeba czytających myśliwych zwraca się przede wszystkim ku lekturze lżejszej, szuka wypoczynku w czytaniu. To też trzeba dążyć, aby charakter beletrystyczny, literacki (różnych rodzajów utworów) był w programie wydawniczym jaknajbardziej umiejętnie wykorzystany. Pozatem — aby nie zabrakło także dzieł artystyczno-literackich.

Tak też pojął swe zadanie Komitet wydawniczy Woł. Woj. Rady Łow., wydając — z okazji urządzonej wystawy i zjazdu myśliwych w Łucku — tom p. Mniszka Tchorznickiego.

Autor w słowach prostych, zwykłych, a tętnących nieprzeciętną miłością przyrody, opisuje swe ważniejsze przeżycia i wrażenia myśliwskie od lat najmłodszych, słusznie twierdząc na wstępie:

„Skąpiec z taką lubością nie przesypuje garści złota, z jaką myśliwy wspomina swoje wrażenia łowieckie”.

A dalej czytamy:

„...I sądzę, że to, co ukochałem, jest dziś już tak zakorzenione we mnie, że chyba śmierć wyrwie mnie z tych objęć, jakimi są zapamiętywania się w precudnej księdze natury, a tem samem w łowiectwie”.

W tomie tym jednak znajdujemy nietylko osobiste wrażenia i indywidualnie ujęte przeżycia, które są tam kanwą tylko dla wypowiedzenia przeróżnych myśli łowieckich i obserwacji, dotyczących zwierzyny, jej zwyczajów, łowisk, hodowli, etyki myśliwskiej i t. d. i t. d.

I to jest właśnie zasługą autora, ta myśl łowiecka bowiem cechuje jego działalność piśmienniczą wogóle, odkąd „piórem się para”.

Jeśli dodać do powyższego szlachetny cel, jaki powodował autorem, który pracę swą przekazał Komitetowi nie dla zysków ni sławy, bowiem dochód ze sprzedaży książki został przeznaczony na budowę ołtarza św. Huberta w jednej ze świątyń Łucka, to popularność takiego wydawnictwa powinna być dostatecznie zapewniona, pod każdym z omawianych tu względów zadawalając przeciętnego czytelnika myśliwego, nie poszukującego w danym razie fachowego podręcznika w jakimś określonym kierunku lub dziale.

Zewnętrzna forma książki p. Tchorznickiego, łącznie z czytelnymi, o ładnym kroju trzcionkami, z dobrze zastosowaną do ty-

tułu winiętą okładkową (choć nienajlepiej drukiem wykonaną), czyni wrażenie bardzo dodatnie.

Gorzej jest z korektą! Pomijam niestaranność jej przeprowadzenia, co nasuwa się czytającemu w kilkunastu miejscach, ale rażą takie błędy przeoczenia, jak „krzyk” (zamiast: kszyk = bekas) i parę innych usterek ortograficznych, o które tak nietrudno u naszych zecerów.

Na zakończenie powiem, że jeśli bezwzględnie koniecznym jest tworzenie wydawnictw fachowo-naukowych, to nie należy również w żadnym razie zapominać o nastawieniu czytelnicwa łowieckiego na lżejszy diapazon.

WŁ. Z.

*
Na półkach księgarskich w Niemczech pojawiła się niedawno nakładem firmy Paul Parey w Berlinie, z licznymi humorystycznymi rysunkami Karola Wagnera, praca Mehrhardta-Ilowa p. t.: „Kanadisches Scherzo”. Jest to zbiorowe wydanie pośmiertne trzech książek kanadyjskich tego autora, mianowicie: „Ausgerechnet Kanada”, „Auf Bummel und Birsch in Kanada” i „Kanadisches Nockturno”. Cena tej książki, oprawionej w płótno i zawierającej przeszło 400 stron druku, wynosi RM. 6.80.

Autor tych trzech szeroko rozpowszechnionych i bardzo humorystycznych książek łowieckich już jako dziecko ujawniał wielkie ambicje myśliwskie i zamiłowanie do przyrody, a w szczególności do zwierząt. Lubił różnorodne zabawy, lecz ponad wszystko wolał otaczać się zwierzętami.

Z biegiem czasu ta właściwość psychiki młodego miłośnika przyrody przekształciła się w wielką namiętność myśliwską. To też, pomimo iż kształcił się na inżyniera, nie mógł zdecydować się na pracę biurową i wolał pozostać w samotności, wśród natury.

Wydzierzał na Pomorzu niewielki teren łowiecki i żył tam samotnie i cicho wśród lasów i zwierzyny. Tu właśnie powstały jego głośnie prace, które odtworzyły barwnie spędzone lata na polowaniach i wędrowkach po Kanadzie. Lata te, jak się wyraża, były najpiękniejszymi i najszczęśliwszymi w jego życiu. Niekończące się przestrzenie pól i łąk, preryj, lasów i kniej harmonizowały z usposobieniem jego ducha.

Każdy, kto z całego serca pragnie się uśmieć, poznać kraj kanadyjski, jego zwyczaje myśliwskie i myśliwych z za oceanu, powinien tę książkę przeczytać koniecznie. Mistrzowska opowieść autora o przygodach i przeżyciach myśliwskich w gronie wesołego towarzystwa naprawi humor każdemu pesymiście. Już w pierwszej części tego dzieła będzie on z radosnym uśmiechem brał udział we wszystkich wyprawach autora na zwierzę, a we wszystkich zabiegach i namiętnościach łowieckich, jakie spotykają każdego myśliwego, gdy mu przyroda nie skąpi i strzelba nie zawodzi. Zazna on ciężkiej pracy na rozległych prerjach i w farmach, zwiedzi rzadkie na świecie eldorado myśliwskie, zapozna się z pięknem kanadyjskiego lata wśród nieskończonych lasów i kniej, pięknych rzek i jezior i wymarzonych gór; będzie podziwiał urok polowania w nietkniętych przez człowieka, obfitych w zwierzynę, nierównych rewirach. I zawsze przy tem uczestnictwie będzie wesoło śmiał się z tryskającego humoru i z komicznych zmian sytuacji, które we wszystkich częściach tej książki wyciskają swój stempel.

Po powrocie z dalekiej podróży do kraju zostaje Mehrhardt-Ilow aresztowany pod zarzutem przemycania opium, lecz niedługo zostaje wśród komicznych okoliczności zwolniony. Uduje się więc do Kanady powtórnie, na nowe polowania i nowe przygody.

Tym razem towarzyszymy autorowi w jego licznych wyprawach do najdalej położonych krajów północy, do jeszcze niezbadanych obszarów, gdzie, kierowany chęcią zaspokojenia swych ambicji myśliwskich, wśród wielkich mrozów i śniegów spędza wspólnie z kilkoma towarzyszami całą zimę.

W tej części książki znajdujemy tragicomiczne historyjki życiowe jednego z towarzyszy autora, który zwiedził cały świat w poszukiwaniu przygód i nie zaznał nic piękniejszego i przy-

jemniejszego ponad życie myśliwskie w skalnej pieczarze, daleko od cywilizacji ludzkiej. Tu naprawdę poznajemy autora, jako dobrego myśliwego, doskonałego humorystę i wybitnego pisarza.

Wszystkie prace tego autora stanowią źródło zdrowia i śmiechu aktualnego w każdym czasie, są pewnego rodzaju kanadyjską literaturą łowiecką, jaką nam, myśliwym, mógł dać mistrz humoru o silnie wyrobionej świadomości optymistycznej. Pod tym względem książkę tę można zaliczyć do najlepszych, jakie się w tej dziedzinie dotychczas ukazały.

Wyborny humor, który wypełniał myśliwskie serce Mehrhardta-Ilowa, i nieczęsto spotykana zaradność były mu pomocne w najgorętszych sytuacjach myśliwskich, z których zawsze wyszedł obronną ręką i z niebyłąką zdobyczą. Jednakże zdolności te nie uratowały go w nieubłaganej chwili pożegnania ze światem. Zamknęły się uśmiechnięte jego oczy na zawsze. Odszedł jeden z wybitnych pisarzy myśliwskich, a humor jego, zawarty w tej książce, przez długie lata będzie rozwieselał braci z pod znaku św. Huberta.

STEFAN M. MACKIEWICZ.

Zawody myśliwsko-strzeleckie M. T. Ł.

W dniach 29 i 30 czerwca r. b. odbyły się na strzelnicy garnizonowej we Lwowie doroczne zawody myśliwsko-strzeleckie Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego Oddziału P. Z. Ł. Zawody te stały, tak pod względem ilości jak i jakości zawodników, na bardzo wysokim poziomie, świadcząc, że ten szlachetny, a tak w obecnej dobie potrzebny sport znajduje w południowo-wschodnich województwach należyte zrozumienie. Imprezę tę zaszczytali swą obecnością przedstawiciele Władz Wojskowych, Dyrekcji Lasów Państwowych i Klubów Myśliwskich. Wszyscy zawodnicy okazali ogromnie wysokie wyrobienie sportowe, a w razie nieporozumień protestujący przyjmował bez szemrania ciężki nieraz, lecz sprawiedliwy wyrok sędziego głównego zawodów, por. Nowosada, specjalisty w tych sprawach.

Wyniki ułożyły się następująco:

I. *Strzelanie z pistoletu dowolnego do sylwetki olimpijskiej na odległość 25 mtr.*

1. Kpt. Borzemski 191/200 nagroda JWP. gen. K. Fabrycego, kryształowa popielnica.

2. Faliszewski St. 188/200 nagroda Państwa „Skole” neseser.

3. Sulewski T. 187/200 nagroda S. A. Lignoza, 300 spłonek.

4. Wagner M. 187/200 nagroda M. T. Ł. pistolet.

II. *Strzelanie do rzutków w klasie A. (do 50-ciu rzutków).*

1. Barański Tadeusz 45/50 nagroda Prezesa M. T. Ł. J. hr. Bielskiego, pułacz porcelanowy.

2. Wagner Mikołaj 42/50 nagroda Wydziału M. T. Ł. neseser.

3. Makomaski Antoni 36/50 nagroda Zakładów Przemysłowych „Leszczków”, peleryna myśliwska.

4. Horoch bar. Jan 35/50 nagroda Pow. Rady Łow., Lwów, zegarek.

5. Bobola Kazimierz 35/50 nagroda Dy. Lasów Państw. Lwów, torba myśliwska.

6. Bojanowski Andr. 34/50, nagroda Inż. W. Lederera, 2 butelki starej starki.

7. Sulewski Eustachy 31/50, nagroda Państw. Wytwórni Prochu „Pionki” 100 nabołów śrutowych i 100 spłonek S. A. „Lignoza”.

III. *Strzelanie do rzutków w klasie B. (do 30 rzutków).*

1. Makomaski Władysław 25/30, nagroda Izby Przem.-Handl. Lwów, waliza skórzana.

2. Barański Eustachy 24/30, nagroda Wiceprezesa M. T. Ł. Inż. Sroczyńskiego, popielnica ze słoniem z bronzu.

3. Rzeszotarski Andrzej 22/30, nagroda Wiceprezesa M. T. Ł. Dr. Stan. hr. Tyszkiewiczza, papierośnica srebrna.

4. Paliszewski Zbigniew 21/30, nagroda Dyrekcji Lasów Państwowych, Lwów, manierka.

5. Inż. Różański 18/30, nagroda inż. W. Lederera, 2 butelki starej starki.

6. Cich Stanisław 17/30, nagroda Rzeszotarskich, sowa z bronzu.

7. Georgeon Władysław 16/30, nagroda Państw. Wytwórni Prochu „Pionki”, 100 nabołów śrutowych.

IV. *Strzelanie przez lunety do tarcz stałych; odległość 225 m.*

1. Dmytrach E. 45/50, nagroda P. Wojewody Dr. Biłyka kryształ.

2. Pieńczykowski St. 43/50, nagroda Banku Cukrownictwa, zegarek.

3. Wagner M. 43/50, nagroda Zakładów Przemysłowych Leszczków, pled.

4. Faliszewski Stanisław 42/50, nagroda Państwowej Wytwórni Prochu „Pionki”, 100 nabołów śrutowych i 100 spłonek S. A. Lignoza.

5. Dr. Szejnberg A. 42/50, nagroda M. T. Ł., popielnica kryształowa.

V. *Strzelanie do ruchomego dzika o 12 pierścieniach, odległość 75 m.; 10 strzałów pojedynczych.*

1. Rzeszotarski Andrzej 95/120, nagroda Braci Makomaskich, dzik z bronzu.

2. Wagner Mikołaj 93/120, nagroda Prof. Dr. T. Ostrowskiego, patera kryształowa.

3. Polański Władysław 91/120, nagroda W. hr. Gołuchowskiego, popielnica kryształowa.

4. Makomaski Władysław, 90/120, nagroda Centralnej Małopolskiej Kasy Oszczędności, futerał na strzelbę.

5. Paliszewski Z. 86/120, nagroda Firmy Scott i Pawłowski, kordelas.

6. Barański Tadeusz 83/120, nagroda Państw. Wytwórni Prochu „Pionki”, 100 nabołów śrutowych.

7. Jaworowski 80/120, nagroda Firmy Dmytrach, laska.

VI. *Strzelanie do 2 ruchomych dzików na odległość 75 m.; 10 strzałów podwójnych. (duplety).*

1. Barański Tadeusz 93/120, nagroda Polskiego Zw. Łow., słoń z bronzu.

2. Barański Eust. 79/120, nagroda M. T. Ł. zastawa do wódki.

3. Makomaski Władysław 71/120, nagroda Warsz. S-ki Myśl. pistolet.

4. Wagner M. 68/120, nagroda Warsz. S-ki Myśl., laska

5. Zawidowski S. 63/120, nagroda Pow. Banku Związkowego, trąbka.

VII. *Strzelanie do ruchomego jelenia (5 pierścieni), odległość 100 m.*

1. Sulewski T. 17/25, nagroda W. Polańskiego patera jaspisowa.

2. Rzeszotarski Andrzej 17/25 nagroda N. N. puhar kryształowy.

3. Borzemski kpt. 16/25, nagroda Tow. „Lisowice”, teka na akty.

4. Makomaski Władysław 16/25, nagroda M. T. Ł., srebrna papierośnica.

5. Rzeszotarski Feliks, 15/25, nagroda Klubu „Ponowa”, torba myśliwska.

6. Barański Eustachy 15/25, nagroda Państwowej Wytwórni Prochu Pionki, 100 nabołów śrut. i S. A. Lignoza 100 spłonek.

7. Barański Tadeusz 14/25, nagroda Państwowej Wytwórni Prochu Pionki, 100 nabołów.

VIII. *Strzelanie o nagrodę kniei na odległość 50 m. do 2 dzików i 2 lisów kulą, oraz 2 rzutków śrutem, wypuszczanych w dowolnej kolejności, przez prowadzącego strzelanie.*

1. Makomaski Wład. 48/54, nagroda A. hr. Zaleskiego, neseser.

2. Zawidowski Stanisław 44/54, nagroda Związku Ziemi Lwów, papierosnica srebrna.

3. Wagner M 42/54, nagroda Redakcji „Łowca”, obraz.

4. Rzeszotarski Feliks 36/54, nagroda Izby Rolniczej, zegarek.

5. Sulewski T. 33/54, nagroda Tow. św. Huberta, trąbka myśliwska.

IX. *Strzelanie do ruchomego zajęcia z broni śrutowej na odległość 35 m.*

1. Barański Eust. 10/10 nagroda E. Zawidowskiego, neseser.

2. Rzeszotarski F. 10/10 nagroda P. Prezydenta m. Lwowa, orzeł porcelanowy.

3. Paliszewski Z. 10/10 nagroda Dr. A. Sander, zegarek.

4. Polański W. 10/10 nagroda J. Sikorskiego, manierka.

X. *Strzelanie do stojącego (znikającego po 4 sek.) rogacza na odległość 75 m.*

1. Star. sierż. Markielowski 44/50 nagroda M.T.L., Diana z brązu.

2. Georgeon Władysław 43/50 nagroda P. Róży Borck-Prek, dzik z brązu.

3. Wagner M. 42/50 nagroda J. Madeyskiego sen., chart z brązu.

4. Makomaski Ant. 41/50 nagroda Miejsk. Tow. Myśl., futerał na strzelbę.

XI. *Strzelanie o przechodnią „Nagrodę Żywca” do dzika ruchomego na odległość 75 m., w pięciu przebiegach.*

1. Barański Eust. 45/60

W zawodach tych wzięło udział 57 zawodników.

Z powyższego zestawienia widać, że niektóre wyniki są wprost znakomite, jak np. 48 na 54 możliwych uzyskane przez p. Makomaskiego w strzelaniu o nagrodę „Kniei”. Również wyjątkowy wynik uzyskał p. Rzeszotarski Andrzej (w wieku lat 15) w strzelaniu do pojedynczego dzika, 95 p. na 120 możliwych. W strzelaniu do dzika w strzałach podwójnych wybił się pięknym wynikiem p. Tadeusz Barański. Zestawienie wyników wskazuje, że ogólny poziom był rzeczywiście wysoki i że również wysokie wyniki uzyskali zawodnicy na dalszych miejscach.

Organizacja zdaniem zawodników była bardzo dobra. Mamy to do zawdzięczenia pomocy Wojskowości i Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego, którym to instytucjom składamy na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie. Do powodzenia imprezy przynili się swą ofiarną a wydatną pracą p. Starosta Słoński, p. dr. A. Sander, p. Georgeon, oraz p. M. Wagner, kier. Warsz. Spółki Myśl. we Lwowie, która to placówka handlowa, dzięki jej zasłużonemu kierownikowi, przyczyniła się w ogromnej mierze do rozwoju strzelectwa myśliwskiego nie tylko we Lwowie, ale na terenie całej Małopolski.

Składamy najserdeczniejsze podziękowania za współpracę p. por. Nowosadowi, temu fanatykowi strzelectwa, a jaką jest ta współpraca, wie każdy dobrze, kto choć raz miał sposobność być na strzelnicy kleparowskiej w czasie jego tam urzędowania.

A Wam, kochani zawodnicy, cześć za to, że nie skąpicie grosza i trudu dla rozwoju strzelectwa i że przyczyniacie się do podnoszenia wzywy sztandaru św. Huberta.

Sekcja Strzelecka M.T.L.
Przewodniczący
INZ. T. SROCZYNSKI

KOMUNIKAT

ZW. HODOWCÓW WYŻŁA SZORSTKOWŁOSEGO SEKCJI
KYN. W. Z. M. W POZNANIU

Wspólne Wielkopolskie próby wyżłów dowodnych zostały wyznaczone na dzień 6 września r. b. w maj. P. D-ra Dąbrowskiego, Jeziorki pow. Poznań. Zbiórka w majątku o godzinie 7-ej rano.

Menerzy zgłoszonych wyżłów mogą przybyć już wieczora — nocleg zapewniony mają na miejscu.

Dojazd od Poznania autobusem i koleją, kierunek Buk.

Na nagrody, oprócz medali, dyplomów i nagród honorowych wyznaczono gotówką od Zarządu Wielkopolskiego Zw. Myśliwych zł. 500 z tych: I-sza — zł. 150; II-ga — zł. 100; III-cia — zł. 75; reszta zł. 175 podzielona będzie między 4 następne wyżły, zdobywające odpowiednio wymagane punkty.

Zgłoszenia przyjmuje Sekretariat do 5-go września r. b.: Poznań, Św. Józefa 6 m. 13.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Marji Kiwerskiej w Szczepicach

Dla odstraszenia jeleni, dzików i sarn od miejsc, w których robią szkody, najlepiej nadają się środki, które działają silnie na powonienie, jak wiadomo bardzo rozwinięte u wszystkich trzech wymienionych gatunków zwierzyny. Do środków takich zaliczyć należy w pierwszym rzędzie: kreolinę, karbol, smołę drzewną, dziegieć i kreozot. Zazwyczaj sporządza się mieszaninę jednego lub paru z wymienionych środków, z dodatkiem pewnej ilości wapna, wyłącznie dla zagęszczenia cieczy. Smarowanie tak sporządzonym płynem bezpośrednio drzew byłoby nieraz niemożliwe do wykonania, a nawet w pewnych wypadkach szkodliwe, postępuje się więc w ten sposób, że zawieszają się na kółkach, wbitych w ziemię dookoła drzew, lub w odstępach parometrych, gałganki nasiąknięte sporządzonym płynem, do czego nadają się stare dziurawe worki, lub odpadki bawełniane, jakie używane są do czyszczenia maszyn i które kupuje się w belach. W ostateczności można użyć do tego celu wiechci z pakul. Gdy płyn zwietrzeje, co następuje jednak dopiero po dłuższym czasie, gałganki zanurza się w cieczy ponownie.

Dla zabezpieczenia pól przed szkodami robionymi przez jelenie i dziki, które wychodzą na żer z lasu, przeciąga się na kółkach sznurek wzdłuż granicy, a do sznurka przyczepia się na haczykach z drutu gałgany, nasycone cuchnącym płynem.

Obok wymienionych środków stosuje się też gałgany przesiąknięte dymem ze spalonego dymnego prochu. W tym celu bierze się duże naczynie blaszane, hermetycznie zamykane, w którym przy otwartem naczyniu spala się proch i natychmiast potem wkłada się gałgany, które pozostają w zamkniętem naczyniu w dymie 24 godziny. Zapachu tego zwierzyna bardzo nie lubi, jest on jednak mniej trwały od środków wyżej podanych.

Pozatem istnieje jeszcze wiele innych środków, w skład których wchodzi krew, a które, jako kłopotliwsze i kosztowniejsze, rzadziej są stosowane.

S. KAMOCKI

ODZNACZENIE.

Pan Prezydent R. P. nadał Złoty Krzyż Zasługi za wybitną pracę społeczną w terenie p. Franciszkowi Dudekowi, członkowi Pol. Zw. Łow. i Podlówczemu na powiat Kolbuszowa.

M Y Ś L I W I

z b i e r a j a c i e

w y s t r z e l o n e

ł u s k i n a F. O. N.

i o d d a w a j a c i e j e ł o w c z y m P o w i a t o w y m

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA SEKCJI OCHRONY ŁOSIA Z DNIA 17 CZERWCA R. 1939.

Obecni P. P.: Prof. J. Domaniewski, Red. W. Garczyński, Mgr. E. Grabda (Komitet Ochrony Przyrody), inż. H. Knothe, Inż. W. Lindemann, St. Madeyski, A. Sikorski, Inż. J. Woyno (Dyrekcja L. P. w Siedlcach), Dr. J. Zabiński.

Wobec choroby Przewodniczącego Sekcji, P. Prof. J. Gieysztora, przewodniczył P. Inż. H. Knothe; protokółował P. Inż. W. Lindemann.

Po zagajeniu posiedzenia przez P. Inż. Knothe, P. Inż. Lindemann odczytał protokół poprzedniego zebrania z dnia 24 czerwca r. 1938. W związku z tym protokołem P. Madeyski wyjaśnił, iż na Wołyniu w lasach Tomaszgrodu w roku ubiegłym było 17 sztuk łosi, a nie 25, jak to podano w protokole. W tej liczbie 3 sztuki przebywają w lasach państwowych nad rz. Lwą. Nie odstrzelono wobec tego żadnego byka pomimo przydziału.

Następnie P. inż. Woyno prosił o wyjaśnienie kto zasadniczo wypłacił gaj. Cicińskiemu nagrodę zł. 50.— za wykrycie kłusownika, albowiem Dyrekcja L. P. w Siedlcach kwotę tę już wydatkowała. Równocześnie P. Inż. Woyno nadmienił, iż gajowemu w Rajgrodzie wypłacono z tegoż tytułu zł. 150.

Z uwagi na nieprzybycie przedstawicieli Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie i Białowieży oraz nieobecność właścicieli terenów prywatnych — Sekcja prosi o zwołanie posiedzenia w połowie października, z tem, iż członkowie będą zawiadomieni na 2 tygodnie przed terminem posiedzenia. Na posiedzeniu tem ma być ustalona szczegółowa statystyka tegoroczna. Obecnie zawiadomienia zostały wysłane zbyt późno i P. Doubrawski z Białowieży, wielki znawca hodowli łosi, przeprowadzający doświadczenia na ich restytucję w Puszczy Białowieskiej, zawiadomił telefonicznie w czasie trwania posiedzenia, iż przybyć niestety nie może.

Następnie odczytana została odezwa p. t. „Nie łowić łosia“, którą postanowiono, na wniosek P. Inż. Woyno, przestać do wiadomości zainteresowanym Radom Wojewódzkim i Dyrekcjom Lasów Państwowych.

P. Inż. Knothe podał następujące dane, dotyczące ilostanu łosi w lasach państwowych:

Dyrekcja Lasów Państwowych Okręgu Białostockiego:

Nadleśnictwo Berszty 4 byki, 6 klemp, razem 10 sztuk; Nadleśnictwo Grajewo 2 byki, 3 klempy, razem 5 sztuk; Nadleśnictwo Kotra 10 byków, 15 klemp, razem 25 sztuk; Nadleśnictwo Rajgród 8 byków, 10 klemp, razem 18 sztuk.

Ogółem 24 byki, z czego 12 łownych 34 klempy — razem 58 sztuk.

Dyrekcja Lasów Państwowych Okręgu Siedleckiego:

Nadleśnictwo Bronna-Góra 13 byków, 13 klemp, razem 26 sztuk, Nadleśnictwo Iwacewice 21 byków, 16 klemp, razem 37 sztuk, Nadleśnictwo Kosów Poleski 17 byków, 18 klemp, razem 35 sztuk; Nadleśnictwo Stwiga 7 byków, 8 klemp, razem 15 sztuk; Nadleśnictwo Wiado 23 byki, 22 klemp, razem 45 sztuk; Nadleśnictwo Wiado 51 byków, 50 klemp, razem 101 sztuk; Nadleśnictwo Rzepichów i Chotynicze 112 byków, 103 klempy, razem 215 sztuk.

Ogółem 245 byków, z czego 113 łownych i 231 klemp — razem 476 sztuk.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA SEKCJI OCHRONY NIEDŹWIEDZIA Z DNIA 17 CZERWCA R. 1939.

Obecni P. P.: Prof. Domaniewski, Red. W. Garczyński, Mgr. E. Grabda, Inż. H. Knothe, Inż. W. Lindemann, St. Madeyski, A. Sikorski, Inż. J. Woyno, St. Hr. Tyszkiewicz, Dr. J. Zabiński.

Brak danych z całej Dyrekcji Wileńskiej, zaś w nadleśnictwie Rudnicki przebywa obecnie, jak to podał P. Sikorski, 18 byków, z czego 10 kapitałnych i 32 klempy, z czego 20 dojrzałych.

W Ordynacji Dawidgródzkiej — jak to wynika z listu K. Ks. Radziwiłła — przebywa obecnie 750 sztuk łosi, które przezimowały, oraz ca 250 sztuk przychowku tegorocznego.

Zaprojektowany odstrzał 15 byków Sekcja zatwierdziła.

P. Inż. Woyno zakomunikował, iż dla celów aklimatyzacji w Białowieży złowiono w N-ctwach Wiado i Iwacewicz 6 sztuk łosi, z czego cztery żyje.

Rozważając sprawę przyrostu łosi, P. Inż. Knothe zwrócił uwagę na znikomo małe zwiększanie się stanu łosi w rewirach w stosunku do ilości corocznie przybywających młodych.

Kwestję tę należy omówić dokładnie na następnym posiedzeniu w październiku. Wszyscy gospodarze łowisk muszą zwrócić na to uwagę.

Red. Garczyński zauważył, że nie można tego zjawiska tłumaczyć opuszczaniem przez łosie ostoi, względnie obecnością drapieżników, wilków i rysi, które wielkich szkód w łosiach wyrządzać nie mogą. W związku z powyższym należy ująć w statystykę, dane ze wszystkich sąsiadujących z ostojami łosi terenów, ustalając naturalne kompleksy ich rozszedlenia.

P. Mgr. Grabda przypuszcza, że mogą tu odgrywać poważną rolę pasożytujące w łosiach przywry, powodujące padanie młodych sztuk. P. Dyr. J. Zabiński dodaje, że poważne szkody mogą wyrządzać pasożytujące w uszach łosi i powodujące śmierć świerzbowce, wykryte u młodych łosi, ofiarowanych przez Ks. Radziwiłła, chowanych w Ogródku Zoologicznym w Warszawie (na 6-ciu sztukach z pośród 7-miu). Kwestją tą mógłby się zająć Dr. L. Ejsmond z Zakładu Zoologii Wydziału Weterynaryjnego.

P. Prof. Domaniewski uważa za konieczne przeprowadzenie dłuższych studjów terenowych.

Sprawa reaklimatyzacji łosi w Białowieży przedstawia się następująco. Rozważana była kwestja wypuszczenia łosi z ogrodzonego rezerwatu na wolność. P. Inż. Knothe jest zdania, iż najracjonalniej byłoby wypuścić je w kwietniu przyszłego roku, kiedy łosze będą wysokocielne i nie opuszczą ostoi. Przychowek wychowany na dziko pozostanie w Puszczy. Wszystkie sztuki rozwijają się doskonale, są rosłe i zdrowe. P. Inż. Sikorski z N-twa Rudniki zakomunikował, iż posiada gniazdo wilków, mogących wyrządzać szkody w łosiach. Postanowiono zwrócić się przez Dyrekcję Naczelną L. P. z prośbą o zlikwidowanie tego gniazda.

W reasumpcji posiedzenia postanowiono przy zatwierdzeniu odstrzałowi łosi z łowisk prywatnych, których właściciele byli nieobecni, kierować się opinią właściwych Rad Wojewódzkich.

W wolnych wnioskach P. Prof. Domaniewski zaproponował wystąpienie Związku do właściwych władz o przyznanie Karolowi ks. Radziwiłłowi Złotego Krzyża Zasługi za odrodzenie łosi. Wniosek został przyjęty przez aklamację. Na tem posiedzenie zakończono.

Przewodniczący
W/z. Inż. H. KNOTHE

Na wstępie P. Inż. Knothe przedstawił obecny stan restytucji niedźwiedzi w Białowieży, zaznaczając, iż niedźwiedzi urodzone w Puszczy zdradzają, niestety, pewne objawy towarzyskości i nie

stronią od ludzi. P. Prof. Domaniewski dodał, iż na podstawie własnych obserwacji w Tatrach stwierdził, że zupełnie dzikie niedźwiadki zachowują się podobnie w razie śmierci matki.

Następnie P. Inż. Lindemann odczytał protokół poprzedniego zebrania i pisma do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych oraz do P. P. Wojewodów Białostockiego i Poleskiego.

Również odczytane zostało pismo Małopolskiej Filji Sekcji Ochrony Niedźwiedzia z wnioskiem o odstrzał 2 sztuk na terenie firmy Godula, który zatwierdzono.

Wobec braku materiałów statystycznych postanowiono zwołać posiedzenie w październiku, na który to termin uproszono Pana Przewodniczącego, Prof. J. Gieysztorę, o zebranie tych materiałów.

P. P. Prof. Domaniewski i Inż. Knothe podkreślają konieczność współpracy z Rumunją i Węgrami w dziedzinie ochrony niedźwiedzia. Należy ustalić równoczesne terminy odstrzału niedźwiedzia — najlepiej w październiku i listopadzie.

P. Prof. Domaniewski wyjaśnił, że niedźwiedzie gawrują przeważnie na stokach północnych po stronie polskiej, a na południe przechodzą na wiosnę. Przestrzegać należy, aby polowania na niedźwiedzie nie łączyły z terminem rykowisk — co poprze również Państwowa Rada Ochrony Przyrody.

Na tem posiedzenie zakończono.

Przewodniczący

w/z. Inż. HERMAN KNOTHE

MIANOWANIA ŁOWCZYCH I PODŁOWCZYCH POWIATOWYCH.

IX wykaz dodatkowy

Łowczych i Podłowczych Powiatowych, P. Z. Ł., zamianowanych i odwołanych przez Lubelską Wojewódzką Radę Łowiecką na terenie województwa lubelskiego, w okresie od 5 stycznia 1939 r. do 15 maja 1939 r.

1. Powiat Biała Podlaska.

Mianowani: Podłowczowie:

Chmielewski Ludwik, Woroniec, p. Biała Podlaska,
Jełowicki Stanisław, Bukowice, p. Leśna Podlaska,
Marchowiecki Tadeusz, Wygoda, p. Janów Podlaski,
Szyba Julian, Zabuże, p. Konstantynów n/Bugiem,
Tolłoczko Kazimierz, Korula, p. Biała Podlaska,
Zakrzewski Wincenty, Matjaszówka, p. Tuczna,

2. Powiat Chełm Lubelski.

Mianowani: Podłowczowie:

Krukowski Wincenty, Sawin, p. w/m,
Mostowski Antoni, Żółtańce, p. Chełm Lub.,
Sągin Bogumił, Rejowiec, p. w/m.,
Tomaszunas Kazimierz, Spas, p. w/m.

3. Powiat Puławy.

Mianowani: Podłowczowie:

Garnuszewski Czesław, Kluczkowice, p. Opole Lub.,
Naprawa Władysław, mjr., Dęblin, Cytadela.

Odwołani: Podłowczy:

Scheybal Adam, mjr., Dęblin.

4. Powiat Radzyń Podlaski.

Mianowani: Podłowczowie:

Czarkowski Jerzy, Siemię, p. Parczew,
Leski Stanisław, Kąkolewnica, p. w/m.,
Nowakowski Stanisław, Żerocin, p. Międzyrzec Podlaski,
Urbański Władysław, Międzyrzec Podl., Żwirki i Wigury 60.

5. Powiat Siedlce.

Mianowani: Podłowczowie:

Chadajewski Stefan, Domanice, p. w/m.,
Chomiczewski Bolesław, Wola Wodyńska, p. Wodynie,

Lipiński Stanisław, Ostrówek, p. Siedlce,
Pecko Alfred, Siedlce, Aleksandrowska 3a,
Rackman Edward, Falatycze, p. Platerowo,
Świerczyński Wincenty, Siedlce, 9 p. a. l.,
Kosztowski Stanisław, inż. Siedlce, Poniatowskiego 3/4,
Wachowicz Zenon, Krzymosze, p. Siedlce,
Winnicki Stanisław, Toporów, p. Łosice,
Zaborowski Stanisław, Zaborów, p. Łysów k/Siedlec,
Wysocki Włodzimierz, Niwiski, p. Siedlce.

Odwołani: Podłowczowie:

Antoniak Antoni, Siedlce, Prusa 6,
Grunwald Józef, Siedlce, Kilińskiego 21,
Wierzejski Michał, Siedlce, Asztanowicza 8.

6. Powiat Tomaszów Lubelski.

Mianowani: Podłowczowie:

Bukietyński Marjan, Tomaszów Lubelski,
Łoś hr. Stanisław, Komarów, p. w/m.

7. Powiat Włodawa.

Mianowani: Podłowczowie:

Świecki Władysław, Majdan Stuleński, p. Wola Uhruska.

8. Powiat Zamość.

Mianowani: Podłowczowie:

Bukraba Zygmunt, Piaski Ruskie, p. w/m.,
Teleżyński Tadeusz, inż., Krasnobród, p. w/m.,
Wyrzykowski Stanisław, Zamość, Okrzei 15.

*

Zmiany na stanowiskach Podłowczych w woj. śląskiem.

Na posiedzeniu Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w dniu 13 lutego 1939 r. mianowano Podłowczym na powiat frysztacki p. inż. Bogdana Farnika z Frysztatu.

Na posiedzeniu Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w dniu 31 maja 1939 r. w miejsce ustępującego Podłowczego na powiat pszczyński p. mgr. Błockiego Władysława, mianowany został Podłowczym na powiat pszczyński p. mjr. Stefan Brandt, zamieszkały w Pszczynie, ulica Poniatowskiego 2.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na II półrocze, III kwartał, lub na miesiąc wrzesień.

Przypominamy, że cena prenumeraty została na r. 1939 obniżona.

Administracja.

KRONIKA MYŚLIWSKA

Piękne łowisko w Sosnowicy pow. włodawskiego.

— W bieżącym sezonie kaczym w maj. Sosnowica PP. Teodorstwa Libiszowskich odbyły się dotąd dwa polowania na pędzone kaczki na olbrzymich przestrzeniach stawów rybnych (22 lipca i 12 sierpnia), przy udziale każdorazowo po kilkunastu myśliwych z Warszawy, różnych okolic kraju i sąsiednich powiatów. Dzięki wspaniałej pogodzie, doskonałemu prowadzeniu polowania i wielu dość dobrym strzelbom, zabito za pierwszym razem około 215, za drugim około 185 kaczek, razem 400 sztuk.

Po drugim polowaniu dwóch myśliwych — Włodzimierz ks. Czetwertyński i p. Adam Doria Dernałowicz — pozostało w gościnnym dworze na noc, by skoro świt spróbować polowania na sadzie. Rezultat okazał się wspaniały: podniesiono 90 sztuk.

Próba powyższa wykazała, że polowanie na kaczki w Sosnowicy można uprawiać korzystnie wszystkimi sposobami (z nąganką, z łódek, buszówką, na przelotach i — sadach), a jeśli dodać i tę okoliczność, że po całym rozległym terenie stawów można jeździć zupełnie wygodnie po groblach samochodami, to należy stwierdzić, że łowisko to jest wyjątkową rzadkością wśród wielu innych terenów kaczyc w centralnych województwach.

Należy podnieść, że w porównaniu z rokiem ubiegłym ilość kaczek w Sosnowicy — przedewszystkiem dzięki umiejętnej ochronie — znacznie wzrosła, do czego, być może, przyczyniła się również wiosenna susza na Polesiu, skąd kaczki w roku bieżącym jakby emigrowały, nie znajdując tam od szeregu lat wystarczających warunków gniazdowania i ochrony młodych dla braku rozległych dostatecznie zalanych, i izolowanych przetrzeni.

Wszyscy uczestnicy tych polowań, wśród których widzieliśmy wiele znanych osobistości, a także zagranicznych dyplomatów, wyrażali się z pełnym uznaniem o tem naprawdę bardzo pięknym i nadzwyczaj malowniczo położonym łowisku, w którym spędzenie choćby jednego dnia, pośród sporego grona niezwykle miłych członków rodziny gospodarstwa, stanowić będzie w każdym wypadku na długo niezapomniane wspomnienie.

Uczestnik.



„Koki”, cocker-spaniel p. K. Rytłówny

TREŚĆ NUMERU.

W sprawie wydawnictw łowieckich — *St. Hoppe*. W sprawie polityki w dziale eksportu zagranicę zwierzyny żywej — *Wł. Zabiello*. Afryka — *St. Zaborowski*. Noc na Wołyniu — *J. Bleszyński*. Dostał czy nie dostał? — *W. Taczanowski*. Jezioro Sajeńek — *E. Bohdanowicz*. Na marginesie artykułu „Nasze dzierzby” — *Wł. Rydzewski*. Nasze zawody w strzelaniu myśliwskim w świetle balistyki — *Inż. W. Maryański*. Wolna trybuna: Głos odpowiedzi pod adresem W. K. S. „Orleńta” — *Mjr. K. Zawadzki*.

Figura św. Huberta pod Plockiem — *Wł. Z.* Otwarcie strzelniczy w Katowicach — *Dr. J. Podgórnny*. Program zawodów strzelecko - myśliwskich podczas Wystawy Łowieckiej w Równem. Przegląd wydawnictw — *M. Mniszek Tchorznicki*, *Wł. Z.* i *S. M. Mackiewicz*. Zawody myśliwsko - strzeleckie M. T. Ł. — *Inż. T. Sroczyński*. Komunikat Związku Hodowców Wyżła Szorstkowłosego (Sekcji Kyn. W. Z. M. w Poznaniu). Odznaczenie. Odpowiedzi Redakcji — *S. Kamocki*.

Z Polskiego Związku Łowieckiego: protokół posiedzenia Sekcji Ochrony Łosia z dn. 17 czerwca 1939 r.; protokół posiedzenia Sekcji Ochrony Niedźwiedzia z dn. 17 czerwca 1939 r.; mianowania Łowczych i Podłowczych Powiatowych w woj. lubelskim i śląskim.

Kronika myśliwska — *Uczestnik*.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wisniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, K. Świdorski, K. hr. Wodzicki, Wł. Zabiello, i J. Zabiński.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 6.—; za pół roku zł. 12.—; za rok zł. 24.—; miesięcznie zł. 2.—. Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego: za kwartał zł. 5.—; za pół roku zł. 10.—; za rok zł. 20.—; miesięcznie zł. 1.75. Numer pojedynczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklam. w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrach. Nr. 206, Warszawa 1.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25) codziennie; prócz sobót, między 3-ą i 4-tą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.

Przed tekstem 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubymi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.

Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Redaktor: Walenty Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Łowiecki. **Sekretarz Redakcji:** Wł. Zabiello.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35.

TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI: 6-66-29.

KONTO P. K. O. 8082.

Zarząd i Sekretariat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.



**MISTRZOWSKO ARTYSTYCZNA WYTWÓRNIA
KOLB DO BRONI MYŚLIWSKIEJ
(ŚRUTOWEJ I KULOWEJ)**

BRONISŁAWA KULIŃSKIEGO

w Warszawie, ul. Smulikowskiego 11, telefon 6-77-03
wytworza indywidualne kolby oraz przeprowadza korektury (sposobem naglania specjalnymi aparatami) gotowych przykładów broniowych w najbardziej szerokim zakresie, w zależności od budowy ciała i nawyków strzelającego. Idealne kapy (przyramienia) korkowe własnego pomysłu.

**SKŁAD BRONI I AMUNICJI
RUSIECKI & DZIEDZIC**

WARSZAWA, ul. MARSZAŁKOWSKA 97
w pobliżu Dworca Głównego
TELEFON 726-13



POLECA DUBELTÓWKI:
A. FORGERON SAUER
A. FRANCOITE B.S.W. SIMSON
MAN. LIEGEOISE WALTHER
BEZKURKOWE OD ZŁ. 200.-
KURKOWE OD ZŁ. 85.-
BRONŃ OKAZYJNA
WARSZTATY REPARACYJNE

JAKÓB MAREK

WARSZAWA, UL. BIELAŃSKA 22
POLECA OBUWIE MĘSKIE SPECJALNOŚĆ

BUTY

DO GOSPODARSTWA, DO KONNEJ
JAZDY, MYŚLIWSKIE
ROK ZAŁOŻENIA 1869



PTACTWO BITE I ZWIERZYŃ

kupuję w każdej ilości po najwyższej cenie

B. ŻENDARA, Warszawa, Nowy-Świat 64,

Telefon 504-18 i od godz. 19-ej do 7-ej rano 504-19.

Zwierzynę, ptactwo dzikie, drób

Zakupują w każdej ilości po
najlepszych cenach rynkowych

BRACIA PAKULSCY

Warszawa, Centrala Bracka 22

tel. 631-73, 631-38 telegr. „Brapakul”

Przy zakupie win naturalnych, gronowych,
które posiadamy w wielkim wyborze, poczy-
nając od zł. 3,75 za butelkę, dla JWP. Ziemi
ustępujemy 10 procent rabatu

JAMNIKI – szczenięta

ca 3 miesięczne, gładko i szorstkowłose po
łowiecko wysokowartościowych importowa-
nych rodzicach i przodkach wysoko premio-
wanych na wystawach, sprzeda po 40.- zł.

HODOWLA FR. GORDON-LASKOWICE | POMORZE

Fretki do tępienia królików sprzedaje tanio Leśnictwo Per-
na poczta Ostrowy pow. Kutno.

Gajowi, umiejący prowadzić szkółki, sadzić las, wykrywać
defraudantów, kłusowników, układać wyżyły, potrzebni. Ży-
ciorysy, odpisy świadectw składać: Fredry 10.

Leśnik-bażantnik Poznańczyk podof. rez. lat 27 dzielny
działacz leśnictwa — łowiectwa — szkółkarstwa — wikli-
niarstwa — melioracja — eksploatacja — uprawy według gleb
i terenu — Spec. hodowli bażantów, tępienia drapieżników,
rybołówstwo — treser wyzłów, bezwzględny wobec kłusowników;
pragnie zmienić na żądanie własne zaraz lub później „Leśniczy”
Szczupliny poczta Gralewo.

Mam do sprzedania wyzlicę gładkowłosą niemkę w 3-ciem polu,
maści ciemno brązowej, dobrze ułożoną. Cena 100 zł.
Karpinski, Tarce, poczta Żerków.

Płochacz niemiecki import I pole b. d. na kaczkę (rodowo-
dem). Szczeniaki szorstkowłose niemcy. Oswojonego zóra-
wia oraz gołębiarza sprz. leś. Jutrowski Hodowla Komorze O-
siek pow. Starogard.

Setterzy Angielskie znanych krwi polowych, ułożone, do na-
bycia z awersu dla wtrenowania przed sezonem. Telefon
675-21.

Springer spaniele 3 miesięczne po niezawodnych aporterach
importowanych z Anglii, nagrodzonych medalami, rodowody.
Brudnicki Kruzca 34. Tel. 851-14.

Strażnik łowiecki ze służbą małoletnią dobrą praktyką po-
trafi odpowiednio tropić i likwidować kłusownictwo, bardzo
zamilowany w łowiectwie, żonaty lat 42 energiczny sprawdli-
wy pilny i pracowity, opinia czysta, poszukuje posady: Józef
Groszek, Podlipie, poczta Włoszczowa, ziemi Kieleckiej.

Suka niemiecka krótki włos I pole z rodowodem p. premio-
wanych rodzicach b. d. w polu, wodzie i w lesie. Sprzeda
O. Zaksa podles. Osiek/Skórcza.

Szorstkowłose niemiec w trzecim polu dobrze ułożony,
specjalista na kury i błotne ptactwo. Sprzedam R. Łuczak
leśnik Maj Grabów nad Prosną.

Szorstko-włose maść bronz. 3 pole, rodowód, silny okaz pra-
ca wszechstronna, korzystnie odda Bażantarnia Pszczyna G. Ś.

Szczeniaki szorstkowłose po bardzo dobrych rodzicach do
oddania. St. Szymański leśnictwo Namysłaki poczta Strzyżew.



Szkoekle teriery czteromiesięczne z rodo-
wodami sprzeda Dr. Zenkeler, Śmigiel,
Wielkop.

Wyżeł, krótkowłose, w 2-em polu dobry aporter doskonały
wiatr i t. d. sprzedam, 150 zł. Skrzypczak leśniczy Szol-
dry — Poznańskie.

Zarząd dóbr Koropiec n. Dniestrem ma na sprzedaż tego-
roczne puhacze.

Zarząd dóbr Maurycego Hr. Potockiego—Jabłonna koło
Warszawy, poszukuje kupna żywych rogaczy kresowych
(najlepiej kozłeta).



**WSZECHŚWIATOWE MUZEUM MYŚLIWSKIE
i PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW I ZWIERZĄT,**

**oprawy rogów i kłów, wyprawy skór z włosiem i na
zamsz, robienia dywanów i kołnierzy zwierzęcych**

STEFANA GREULICHA

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 61. Telefon 5-37-84.



Egz. od 1861 r.

**Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI, w Warszawie**
sp. z o. o.

Krak. Przedm. 7, tel. 647-47

Poleca strzelby:

G. Defourny-Sevrin à Liège

A. Forgeron "

A. Francotte "

Lepage "

Sztucery, Trójlufki

G. Defourny-Sevrin à Liège

J. Nowotny **Praha**

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Katalogi ilustrowane bezpłatnie



Ceny i warunki przystępne

WIKTOR ŁASTOWSKI



**PRACOWNIA
WYPYCHANIA
ZWIERZĄT I PTAKÓW**

oprawa rogów, robienie
dywanów, wyprawa skór.

Warszawa, Krak. Przedm. 10, telefon 6-86-78.

Wprost kość. Ś-go Krzyża

**Zarząd Lasów Księcia Donnersmarcka w Świerklańcu poszukuje
LEŚNICZYCH, PODLEŚNICZYCH I GAJOWYCH**

od dnia 1 października 1939 r. lub wcześniej

WARUNKI:

a) dla leśniczych: 1) dyplom z ukończenia pełnych studiów akademickich, 2) wiek 28 — 40 lat, 3) kilkuletnia praktyka, 4) stopień oficera wzgl. podchorążego rezerwy, nabyty w W. P. 5) świadectwo moralności, 6) odpis metryki urodzenia, 7) własnoręcznie napisany życiorys z szczegółowym podaniem miejsc pobytu i czynności za okres ostatnich 15 lat z dołączeniem fotografii oraz podaniem wzrostu, 8) wskazanie osób mogących udzielić referencji.

b) dla podleśniczych: 1) stan wolny, 2) wiek 20 — 30 lat, 3) ukończenie średniej lub niższej szkoły leśnej, 4) stopień podchorążego wzgl. podoficera nabyty w W. P., reszta jak pod a)

c) dla gajowych: 1) odbyty kurs dla gajowych, 2) kilkuletnia praktyka, 3) wiek 25 — 40 lat, 4) stopień conajmniej kaprała W. P., reszta jak ad a).

Podania należy skierować pod adresem pełnomocnika: DR. WALLOSCHKE,
pow. TARNOWSKIE GÓRY.

Nieuwzględnione podania pozostaną bez odpowiedzi.

MISTRZOSTWA WARSZAWY, MAZOWSZA I POLSKI

w strzelaniu do rzutków na 1939 r.

Zdobył w d. 7, 8 i 9 Lipca r. b. w Warszawie

p. Konstanty Koschembahr-Lyskowski

z broni A. Jos. DEFOURNY

Wyłączna sprzedaż w WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYŚLIWSKIEJ

W WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17

oraz w Oddziałach W. S. M. w POZNANIU, ul. Br. Pierackiego 12

we LWOWIE, Pl. Mariacki 4

w WILNIE, ul. Wileńska 10

w KATOWICACH, ul. Młyńska 2

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

ODEZWA

DO WSZYSTKICH CZŁONKÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO I PRENUMERATORÓW „ŁOWCA POLSKIEGO”

DZIEJOWA CHWIŁA I NARZUCONA NAM WALKA O NAJWYŻSZE DOBRA PAŃSTWA I NARODU UNIEMOŻLIWIAJĄ ZAJĘCIE SIĘ W OBECNYCH WARUNKACH CZEMKOLWIEK IN-
NEM, JAK OBRONĄ NASZYCH NAJSWIĘTSZYCH PRAW.

WOBEC TEGO POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI ZMUSZONY JEST ZAWIESIĆ WYDAWANIE
„ŁOWCA POLSKIEGO“, „KALENDARZA MYŚLIWSKIEGO“ I WOGÓLE OGRANICZYĆ SWOJĄ
DZIAŁALNOŚĆ DO CZYNNOSCI NAJBARDZIEJ KONIECZNYCH. O DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKU
POWIADAMIAĆ BĘDZIEMY CZŁONKÓW ZWIĄZKU I PRENUMERATORÓW „ŁOWCA POLSKIE-
GO“ ZA POŚREDNICTWEM SPECJALNYCH BIULETYNÓW.

DZIĘKI WYSIŁKOM POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO TEN CIĘŻKI OKRES, JAKI NAM
WSZYSTKIM PRZEŻYĆ WYPADNIE, ZASTAJE POLSKI ŚWIAT ŁOWIECKI W ZNACZNYM STOP-
NIU ZORGANIZOWANYM I PRZYGOTOWANYM. MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE TE WARTOŚCI, KTÓ-
RE POTRAFILIŚMY UCHRONIĆ DLA PAŃSTWA I SPOŁECZEŃSTWA, UDA NAM SIĘ CHOĆ
W PEWNEJ CZĘŚCI URATOWAĆ Z DZIEJOWEJ ZAWIERUCHY I ŻE PO ZWYCIĘSKIEJ WOJNIE
BĘDZIEMY MOGLI ZE WZMOŻONYM WYSIŁKIEM DALEJ PRACOWAĆ NA CHWAŁĘ I POŻYTEK
DROGIEGO NAM WSZYSTKIM ŁOWIECTWA POLSKIEGO.

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI

I

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO“.

•KRIEKOZBIÓR•PRYWATNY•
ŁOWIECTWO
 Nr inw.
LESZEK SZEWCIK